odgłosu

Nr 12 (316)
22. III. 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK ROK VII

W numerze: Kamieńska o wierszach Huszczy ● Karczewska o Poznaniu ● Papier o odnalezionym mieście ● Zdrojewski o niedalekiej przeszłości ● Nadolski o archeologii ● Kornatowska o gwiazdach filmowych ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

ROBERT PENN WARREN

PUSZCZA

TŁUMACZYŁ BRONISŁAW ZIELIŃSKI

Minąwszy cztery przecznice dosłyszał krzyki, bardzo nikłe, znów w stronie północno-wschodniej. Potem zamilkły. Szedł dalej ulicą. Spostrzegł podartą gazetę, leżącą na bruku i schylił się, by ją podnieść.

Prawa górna połowa arkusza była oddarta. Zaczął czytać to, co zostało:

„...krytykować generała Meade'a za jego postępowanie. Ostatecznie wygrał on bitwę pod Gettysburgiem. Lee i jego służalcy „niewolokracji" zostali odparci, a Waszyngton uratowany. Unia jest znowu ocalona. Co prawda Lee nadal jest w polu i pozwolono, aby to, co mogło być druzgocącą klęską, stało się uporządkowanym odwrotem..."

Czytał dalej, aż do końca. A więc odniesiono wielkie zwycięstwo.

Poszedł przed siebie trzymając w ręce podartą gazetę. Znowu dosłyszał dalekie krzyki. „Widocznie ludzie wiwatują na cześć zwycięstwa i triumfu sprawiedliwości" — pomyślał. Wraz z ową myślą, pragnieniem złączenia się z innymi w radości, poczęła w nim narastać jakaś słodycz, niby nieśmiała łodyżka zieleni przeciskająca się w górę między kamieniami.

Cienie gęstniały między domami. Wysoko w resztkach dziennego światła migały zygzakami jerzyki. Spostrzegł, że o kilka przecznic dalej zapalono latarnie. Znowu usłyszał na północo-wschodzie stłumione, głuche huki — jeden, dwa, trzy, cztery wybuchy w równych odstępach. Nagle przyszło mu do głowy, że to musi być artyleria. No tak: jakiż był głupi; że na to nie wpadł!

A potem pomyślał: To właśnie słyszał mój ojciec.

Rebelianci muszą atakować miasto. Dlatego wszystko tu jest takie dziwne.

Chociaż nie: przecież było wielkie zwycięstwo. Gazeta donosiła, że było wielkie zwycięstwo. Zatrzymał się, znów spojrzał na podarty dziennik i odczytał słowa. Potem popróbował odszukać datę. Na górnym brzegu znalazł:

10 lipca 1863.

To znaczy pięć dni temu — pomyślał. Tak, dzisiaj jest piętnasty, prawda? Może Lee zawrócił? Mówiono, że nie można go pobić. Ale Południe jest daleko. Wiedział o tym, bo studiował mapy. A pięć dni — nawet dla generała Lee — to było za mało, żeby zawrócić, pomścić się i rozgromić, i dotrzeć tutaj. Tylko cóż to mogło być, jeżeli nie nieprzyjaciel?

Pośpieszył dalej ulicą.

Na następnym rogu ujrzał to.

Wisiało na słupie latarni i kiedy to zobaczył, nie mógł rozeznać zbliżając się, czym może być.

Wisiało tam bezsensownie. Wisiało jak pusty worek związany u góry, z luźną częścią wierzchu wywiniętą i opadającą na bok przez naprężoną linkę. To właśnie przypomniało mu w pierwszej chwili. Jego umysł czepiał się tego obrazu jak długo się dało. A potem Adam pojął, że jest to postać ludzka. Była to postać człowieka, a owa luźna część wierzchu worka, wywinięta i opadająca w bok nad zaciśniętym węzłem linki, to była głowa, która zwisała zamyślona, frasobliwa, skłopotana.

Popatrzył na ową twarz i we współczuciu, które uderzyło mu krwią do głowy, i w braku tchu doświadczył tej męki, co wysadziła te oczy na wierzch i omroczyła tę twarz. A potem, ciągle

DALSZY CIĄG NA STRONIE 5

Przed Zjazdem

PARTIA ZAPRASZA DO DYSKUSJI

Decyzją XV plenarnego posiedzenia KC PZPR o zwołaniu Zjazdu Partii na dzień 15 czerwca br. i ogłoszeniem tez (wtorkowa „Trybuna Ludu" opublikowała je w całości, a prasa terenowa w obszernym omówieniu) zapoczątkowane zostały dni wielkiej, ogólnonarodowej dyskusji nad dorobkiem ostatniego dwudziestolecia i podstawowymi zarysami narodowego planu gospodarczego na lata 1966—70.

Te właśnie dwa obszary tematyczne wypełniają dwie pierwsze części tez Komitetu Centralnego. Trzecia — rzecz zrozumiała — poświęcona jest roli, polityce i zadaniom partii.

Choć w ogólnonarodowej rozmowie, jaka rozwinie się w najbliższym czasie, główna uwaga z pewnością koncentrować się będzie na kierunkach rozwoju naszego kraju — wielkie znaczenie ma również spopularyzowanie osiągnięć XX-lecia Polski Ludowej.

I to nie tylko dlatego, że znajdujemy się właśnie w roku jubileuszowym, a data Zjazdu bliska jest rocznicy narodzin Polski Ludowej. Również dlatego, by znakomitej części społeczeństwa — ludziom, którzy nie ukończyli jeszcze 38 lat i nie znają zupełnie lub prawie zupełnie Polski międzywojennej — plastycznie unaocznić dwa dwudziestolecia. Nie jest to wcale sprawa bagatelna, jeśli zważyć, że stanowią oni 70% mieszkańców Polski. Dla nich trudności, które towarzyszą naszemu życiu, mają tylko jeden wymiar i nie mogą być konfrontowane z tymi, które niosły lata międzywojenne. A przecież są to trudności zgoła innego rodzaju, tak różne, jak różne są te dwa bilansy.

Tezy Komitetu Centralnego przynoszą na ten temat bogactwo liczb porównawczych. Sięgnijmy do kilku podstawowych.

Dwudziestolecie międzywojenne przyniosło spadek produkcji przemysłowej — w r. 1938 osiągnięto zaledwie 98,7 proc. poziomu z roku 1913. Mimo zniszczeń wojennych — już w r. 1947, a więc w trzecim roku Polski Ludowej, poziom przedwojenny został wyrównany. Dziś globalna produkcja naszego przemysłu jest blisko 9-krotnie wyższa niż przed wojną, a w przeliczeniu na 1 mieszkańca — nawet 10-krotnie.

Przeciętne zatrudnienie wynosi obecnie 3.390 tys. osób wobec 859 tys. w r. 1937.

Równie przekonywające są liczby, ilustrujące rozwój rolnictwa. Mimo wszystkich przeszkód i niezadowalającego tempa przyrostu — poziom obecnej produkcji jest znacznie wyższy. Najwyraźniej chyba wykazują to wielkości, wyprodukowanych artykułów rolnych na

Dalszy ciąg na str. 2

KONRAD FREJDLICH

W MUROWANEJ Dąbrowie

Widok z okien autobusu linii 70 — nie kończący się plac budowy. Wszystkie domy są nowe a zamieszkałe można poznać po zasłonach w oknach. Autobus odjeżdża spod kina na Rzgowskiej i wolniutko toczy się ulicami osiedla, często ulicami bez nazwy, dla ludzi przynajmniej, bo może Prezydium ochrzciło je dawno. Na przystanku nie kończący się ogonek czekających, szybciej buduje się bloki niż zasila linię w dodatkowe wozy. Po czym to poznać? Choćby po tym, co ludzie wożą autobusem.

Ci, co sprowadzili się tu wczoraj lub przedwczoraj, mówią: panie, Dąbrowa to jest zsyłka. Niby, że tak daleko. Dwadzieścia pięć, trzydzieści minut drogi od śródmieścia, jeżeli pasuje autobus i tramwaj. Bo jeśli nie, to gorzej. A są wśród mieszkańców ludzie, którzy mieszkali w innym krańcu miasta, nieraz o godzinę drogi od Piotrkowskiej róg A. Struga. Ci narzekają tak samo, bo jeszcze nie czują przynależności do Dąbrowy i tak ich nauczono w kwaterunku. „Bierzesz pan?". Jest w tym maleńka groźba, więc któż by nie wziął. Zawsze to mieszkanie w nowym budownictwie. Kwaterunek jest poinformowany najlepiej ze wszystkich. I musiał coś wymyślić na ludzi, żeby się bali, odkąd przestali wierzyć w duchy.

Więc ludzie boją się trochę, ale biorą. W każdą sobotę zajeżdżają ciężarówki i ładowne furgony konne. Nikt się nie umawiał, ale pod niedzielę jakoś najwygodniej jest zwozić graty. Potem na gliniastych placykach pomiędzy blokami piętrzą się brudne kopczyki. Każdy kopczyk — długie lata dorobku. I trzeba stwierdzić ze smutkiem — dorobku na ślepo. Pojazdy trzeba opróżnić jak najszybciej, płatne od godziny. Stąd te stosy gratów poukładanych byle jak na ziemi. Bo do mieszkań są wnoszone powoli, z namaszczeniem, żeby nie trzeba było potem wykonywać dwadzieścia razy tej samej roboty. A po miesiącu czy dwóch, wieczorkiem, kiedy nikt nie widzi, wyrzuca się to i owo, bo nie pasuje do nowych warunków „i w ogóle", jak mówią ludzie. Za to kryte samochody z napisem MEBLE nie opuszczają uliczek pomiędzy blokami.

Tak się utrwala Dąbrowa w pamięci. Poprzez te kopczyki. Tutaj każdy miesiąc liczy się jak rok gdzie indziej. Wszystko co się dzieje, dzieje się po prostu nagle. I zbyt szybko się zmienia, aby spamiętać. Wszyscy mieszkańcy są nowi i nawet sprzęty w mieszkaniach nie zdążyły się dobrze zakurzyć. Najstarsi mieszkańcy bloków mają roczny staż. Tych zresztą można policzyć na palcach. Trzy bloki. A teraz jest już bloków czterdzieści. Dźwigami są zestawiane z płyt w ciągu dwóch miesięcy. W pół roku bloki są gotowe do przyjęcia mieszkańców. Ale tego na ogół się nie wie. Ludzka pamięć sięga na Dąbrowie nie dalej niż trzy, cztery miesiące wstecz.

Oczywiście, są i tubylcy. Ludzie osiedli od lat na południu Łodzi, którzy pamiętają dobrze stawy i łąki, tu gdzie teraz bloki. A niektórzy nawet kopanie gliny, bo kiedyś i cegielnia zabłąkała się wśród pól. Większość z tych ludzi od roku siedzi na walizkach. Spakowana do przeprowadzki. Bo będą rozbierane domki, które się tutaj jakoś nie mogły wznieść najczęściej ponad parter. Owszem jest i trochę gospodarzy. Tak się nazywa tutaj tych, co sieją i orzą. Niektórzy przeczuli szansę, jaką zawsze daje budowa. Na parę miesięcy przed rozpoczęciem robót założyli planta-

Dalszy ciąg na str. 3

Przed Zjazdem

PARTIA ZAPRASZA DO DYSKUSJI

Dalszy ciąg ze str. 1

statystycznego mieszkańca. Zboża — 476,6 kg w latach 1961—63 wobec 368,0 w latach 1934—38, ziemniaków — 1.405 i 1.030, mięsa — 53,2 i 20,9, mleka — 407,2 i 279,7...

Do tej bogatej skarbnicy wiedzy o ówczesnej i współczesnej Polsce, jaką są zgromadzone w tezach wielkości porównawcze, sięgać będziemy w dyskusji przedzjazdowej nie raz, nie dwa ... Lapidarnie ujęte bowiem zestawienia pozwalają odmierzyć drogę, jaką przebyliśmy. A trzeba, koniecznie trzeba, zanim nakreśli się dalszy kierunek, obejrzeć się za siebie.

Podstawowa część tez — to wytyczne rozwoju gospodarczego Polski w latach 1966—70.

Jakby osią, wyznaczającą charakter i kierunki następnej pięciolatki, są zmiany w sytuacji demograficznej kraju. Według obecnych prognoz, w latach 1966—70 ludność w wieku zdolności do pracy wzrośnie o ok. 1,5 mln osób. Ten fakt musi określić przyszłą politykę inwestycyjną. Trzeba bowiem zapewnić im odpowiednią ilość miejsc pracy.

Nie bez wpływu na kierunek rozwoju są również zmiany w sytuacji ekonomicznej świata i nasze miejsce w tej gospodarce.

Wreszcie — o strukturze inwestycji w następnej pięciolatce decydować będzie także i to, że wiele obiektów już rozpoczęliśmy. Trzeba więc zapewnić środki na ich ukończenie.

Biorąc to wszystko pod uwagę tezy ustalają następujące kierunkowe założenia:

— wzrost dochodu narodowego podziału o ok. 30%
— wzrost funduszu spożycia ogółem o 25—27%;
— wzrost produkcji przemysłowej o 45—47%
— wzrost produkcji globalnej rolnictwa o 14—15%.

Są to tylko główne zarysy Narodowego Planu Gospodarczego na lata 1966—1970. Noszą one charakter wstępny i ostatecznie sprecyzowane zostaną przez Sejm w r. 1965. Stanowią jednak zasadniczy punkt wyjścia do dyskusji przedzjazdowej, w której miejsce jest dla każdego z nas.

Jak bowiem mówił w wystąpieniu wprowadzającym Władysław Gomułka na XV Plenum KC:

„Jest rzeczą bardzo pożądaną, aby w dyskusji... wzięła udział szeroka kadra pracowników przemysłu i całej gospodarki narodowej, kierownicy zakładów pracy i działacze samorządu robotniczego, ekonomiści i planiści, ludzie nauki, inżynierowie, konstruktorzy, pracownicy instytutów i całego zaplecza technicznego, pracownicy resortów, zjednoczeń i centrali handlowych, słowem każdy, kto pragnie wnieść konstruktywne propozycje do projektu planu na przyszłe 5-lecie. Przyczyni się to również do podjęcia jak najbardziej słusznych decyzji przez IV Zjazd naszej partii".

W naszych warunkach, gdy partia zajmuje czołową pozycję w życiu kraju, kierując budownictwem socjalistycznym, Zjazd PZPR jest niewątpliwie wydarzeniem daleko wykraczającym poza jej szeregi. Jest to wydarzenie ogólnonarodowe. Ogólnonarodowa i z pewnością obfita we wnioski będzie też dyskusja o naszej przyszłości.

Zasygnalizowane w tezach wskaźniki rozwoju są sumą rezultatów tego, co pracą rąk czy myślą twórczą mamy wytworzyć w fabrykach, biurach konstrukcyjnych czy uprawnych polach. Każdy z nas ma więc możność korygować je swoim wysiłkiem. Brzmi to może jak slogan, chociaż jest największą prawdą naszych czasów.

WIESŁAW BEK

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO, O REPERTUARZE TEATRÓW ŁÓDZKICH, O „ODGŁOSACH",

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najcelniejsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY"

odgłosy w świecie

Przytoczone w tytule zdanie: „Mój dom jest moim zamkiem" to jedno z najpopularniejszych przysłów amerykańskich. Odpowiada ono polskiemu „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". W obu przysłowiach manifestuje się to samo pragnienie „privacy" — prywatności, intymności życia osobistego.

„Privacy" jest jednym z najgorecej bronionych przywilejów obywatela USA. „Privacy" pozwala zastrzelić intruza, jeśli wedrze się on na teren cudzej posiadłości bez zgody właściciela, pozwala zatrzasnąć drzwi przed nosem dziennikarzowi czy nawet policjantowi o ile ten nie posiada nakazu sądowego. „Prawo do prywatnego życia — pisał w 1928 roku sędzia Sądu Najwyższego USA, Louis Brandeis — jest prawem najbardziej zrozumiałym i najbardziej wartościowym dla cywilizowanego człowieka".

Wraz z rozwojem cywilizacji, zagoniony człowiek naszych czasów coraz bardziej jest spragniony chwili samotności i... coraz trudniej przychodzi mu ją osiągnąć. Ostatni numer amerykańskiego tygodnika News week z dnia 9.III. br. zwraca uwagę na inwazję życia prywatnego w Stanach Zjednoczonych.

Jak obliczono co dzień ok. 10.000 rozmaitego rodzaju przekaźników, miniaturowych radiostacji nadawczych i różnych urządzeń podsłuchowych — „chrabąszczy", jak je określa slang — śledzi Amerykanów w domu, przy pracy i w czasie zabawy. Ukryte kamery telewizyjne podpatrują nabywców w wielkich domach towarowych, zachowanie się dzieci w szkole, pracowników przy pracy. Były agent FBI mówi: „Podglądanie rozwija się tak szybko, że mnie samego to przeraża". Gwałtowny atak na „privacy" był przedmiotem specjalnych badań i publikacji. Autor jednej z książek, Vance Pacard, pisze: „Większość Amerykanów posiadających pracę, samochód, dom, konto bankowe, ubezpieczenie i służbę państwową czy wojskową poza sobą, może przyjąć, że posiada co najmniej jedno specjalne dossier a najprawdopodobniej ma ich kilka". Dla przykładu przytacza, iż kartoteka jednej tylko instytucji rządowej: Cyvil Service Commision, posiada 7,5 miliona teczek poufnych informacji o obywatelach USA. Coraz częściej spotyka się urzędy stosujące różnego rodzaju „wykrywacze kłamstw", testy psychologiczne, hipnozę czy pastylki paraliżujące chęć kłamania, zmuszające petentów do szczerych „spowiedzi" na różne tematy.

Drugi autor obszernej publikacji na te tematy, eksdetektyw prywatny, Myron Brenton, mówi: „Istnieją różne agencje wywiadowcze, detektywi towarzystw ubezpieczeniowych, agenci sprawdzający czeki, radcy bezpieczeństwa, biura osób zaginionych, specjaliści śledzący przekroczenia patentowe, detektywi rozwodowi, komornicy, piraci przemysłowi, którzy zbierają, wymuszają, podsłuchują informacje".

Elektroniczne oczy i uszy agentów, to stacje radionadawcze, o rozmiarach kostki cukru (nadaje w promieniu kilkuset metrów i pozwala detektywowi z odbiornikiem słuchać i nagrywać na taśmę każde słowo rozmowy), mikrofon w formie gwoździa, który wbity w ścianę pozwala słyszeć każde słowo wymówione szeptem w przyległym pokoju, kamera pracująca w podczerwieni, sprzężona z komórką foto-elektryczną, pozwalająca robić zdjęcia w zupełnych ciemnościach, mikro-nadajniki radiowe, które można zaszywać w ubranie, wstawiać do zęba, ukryć w szpilce do krawatu, ołówku, zapalniczce, guziku a nawet w oliwce koktailu. Gros produkcji 30 zakładów elektronicznych wytwarzających „chrabąszcze" kupują instytucje rządu amerykańskiego, reszta rządy obcych państw, podejrzliwe żony, producenci samochodów, dyktatorzy mody oraz... kluby sportowe. Jest powszechną tajemnicą, iż w Waszyngtonie niemal każda rozmowa telefoniczna jest nagrywana na taśmę w takich urzędach jak FBI, CIA Służbę Bezpieczeństwa, Ministerstwa Stanu lub Obrony. Jeśli kongresman chce zadzwonić bez podsłuchu, udaje się na stację kolejową i dzwoni z automatu.

Powody podsłuchiwania, czy podglądania są różne. Przemysł śledzi swych pracowników za pomocą ukrytych kamer telewizyjnych chcąc zmniejszyć swe straty wynikłe z kradzieży a wynoszące do 4 milionów dolarów dziennie. Kamera telewizyjna umieszczona na zewnątrz domu gry pozwala uniknąć niespodziewanego wtargnięcia policji. Wiadomo, iż szereg firm płaci dziennie setki dolarów za podglądanie i podsłuchiwanie w biurach i laboratoriach przedsiębiorstw konkurencyjnych. W dodatku istnieje policja, szereg rządowych agencji wywiadowczych czuwających nad bezpieczeństwem i praworządnością.

Oczywiście, jak zawsze, działanie wywołuje przeciwdziałanie. Dziś już istnieją firmy podejmujące się wykrywania nadajników radiowych i urządzeń podsłuchowych. Mottem biura śledczego „Argus" jest: „Bezpieczeństwo twego biura wymaga regularnego badania elektronicznego, tak jak twoje zdrowie regularnego badania lekarskiego". Jak wyznaje agent firmy: „Najbardziej krępujące jest znalezienie jednego ze swych własnych „chrabąszczy".

Nie tylko instytucje zawodowe zajmują się wsadzaniem nosa w prywatne sprawy obywateli USA. Dzięki możności zakupywania całych gotowych układów elektronicznych i stosunkowej łatwości ich łączenia, wymyślne urządzenia podsłuchowe są niemal wszystkim dostępne. Ostatnio siedemnastolatek z Detroit skonstruował oryginalne urządzenie umożliwiające mu podsłuchiwanie rozmów swej dziewczyny poprzez sygnał linii zajętej jej telefonu. Inny skonstruował układ superczułych mikrofonów kierunkowych, za pomocą którego słuchał rozmów w domu sąsiadów. Do atmosfery podsłuchiwania, śledzenia przyczyniają się różne firmy ogłaszające się w czasopismach. Jedna z nich reklamuje się pod hasłem „Bądź szpiegiem": Jesteśmy jedyną firmą na świecie, która za jedyne 22,5 dolara nauczy cię podsłuchu telefonicznego, konstruowania „chrabąszczy" i podpatrywania".

Prawodawstwo amerykańskie nie posiada przepisów zakazujących sprzedaży urządzeń podsłuchowych. Istnieje jedynie przepis zakazujący rozpowszechniania informacji podsłuchanych nie zaś samego procederu. Prokurator Generalny R. Kennedy obecnie stara się przeforsować ustawę zezwalającą na podsłuch telefoniczny jedynie organom państwowym i to tylko na podstawie nakazu sądowego.

Podglądanie ludzi jest procederem uwłaczającym godności człowieka. Jest obrzydliwe dla podglądanych. Poprzedniego tygodnia w zakładach Chewroleta w Baltimore wybuchł strajk przeciwko programowi założenia sieci kamer telewizyjnych podpatrujących pracowników. Posiadać życie prywatne, to znaczy być sobą. Nie może być sobą człowiek żyjący nieustannie ze świadomością, iż jest bez przerwy obserwowany. Wojnę przeciwko szpiclom wdzierającym się w prywatne życie socjolog z Uniwersytetu Kolumbia proponuje rozpocząć od prostego: „To nie twój interes" — zdanka skierowanego do wszystkich ankietujących, pytających o sprawy twoje czy twego sąsiada.

Oby „My house is my castle" było zdaniem twierdzącym.

LECH UTRACKI

MY HOUSE IS MY CASTLE

POLONICA

GŁOSY O KSIĄŻCE OSSOWSKIEGO

Dotarły do nas recenzje o wydanej w NRF książce Stanisława Ossowskiego „Struktura klasowa w społecznej świadomości". Książka ta, która ukazała się w tłumaczeniu Sophie Schick-Rowinskiej, zdobyła sobie bardzo pozytywne oceny fachowców. Oto kilka zdań z recenzji w poważnych pismach, poświęconych zagadnieniom socjologii i literatury: „Szczególna wartość tej książki leży w tym, że integruje ona zachodnie i wschodnie sposoby podejścia do zagadnienia, co, jak się wydaje, możliwe jest jedynie z polskiego punktu widzenia". I jeszcze jeden cytat: „Znakomita analiza wszelkich aspektów klasowości w żadnej dyskusji nie może już być pominiana". A więc — całkiem nieźle.

„KAMIENNY ŚWIAT" PO FRANCUSKU

„Kamienny świat" Tadeusza Borowskiego ukazał się prawie równocześnie na dwu wielkich rynkach wydawniczych. W NRF — nakładem Fischera, w Paryżu — nakładem starej i szacownej firmy Calmann-Lévy, w doskonałym tłumaczeniu młodego polonisty Eryka Veaux.

Książka Borowskiego zapowiada się jako bestseller, jeśli wolno sądzić na podstawie pierwszych recenzji ukazujących się w francuskiej prasie literackiej. I tak, poczytny i wielce wpływowy tygodnik „Express" zamieścił już recenzję podpisaną przez Piotra Rawicza. Nasz stary znajomy, wychowanek uniwersytetu lwowskiego, Ukrainiec Piotr Rawicz jest od kilku lat pisarzem francuskim, jednym z najciekawszych w licznym szeregu cudzoziemców piszących w języku Apollinaire'a i Oskara Władysława Miłosza. „Krew z nieba", pierwsza jego powieść ogłoszona trzy lata temu, od razu zwróciła na siebie uwagę zarówno społeczności pisarskiej, jak i szerokich kręgów czytelniczych, i nawet zdobyła któraś z nie najmniej ważnych nagród literackich. Nic dziwnego: jest to bowiem żarliwa i gwałtowna w swej szczerości spowiedź byłego więźnia Majdanka i Janowca. Kto jak kto, ale Piotr Rawicz, były mieszkaniec „kamiennego świata" obozów, znawca i miłośnik literatury polskiej, był chyba najbardziej powołany do napisania recenzji o książce Borowskiego.

Recenzja jest, oczywiście, entuzjastyczna. Posłuchajmy:

„Wrażliwy jak nikt inny na plugawy i ogromny pejzaż księżycowy Oświęcimia, uczniony na każdy szczegolik, na każdy odruch psychiczny swoich postaci, oszczędny w środkach tak dalece, że niekiedy ociera się o prowokację, Borowski tworzy dzieło sztuki o gęstości niezwykłej, dzieło budzące podziw. Gdybym miał przekazać osobie bliskiej i nie poinformowanej to, co uważam za swoją prawdę o Oświęcimiu, odwołałbym się raczej do pewnych tekstów Borowskiego, niż do własnych wspomnień. Wychodząc częstokroć od drobnostki uchwyconej na gorąco, poeta sugeruje nam cały system walorów, który prawdę „koncentracyjna" wyraża o wiele pełniej niż mogłaby to uczynić najbardziej wnikliwa analiza socjologiczna".

Streściwszy opowiadanie „Obiad", Rawicz powiada:

„Wartość pusciznv literackiej Borowskiego jest może nierówna. Wielkość i oryginalność bezsporna osiąga pisarz w utworach ściśle obozowych. Ale i tych kilka opowieści, które mówią o życiu w okupowanej Warszawie, świadczy o talencie drapieżnym i bezlitosnym".

A oto konkluzja:

„Nie wiem, jakie powody skłoniły tego ocalońca z Oświęcimia, młodego poetę u szczytu sławy, do odkręcenia kurków od gazu. Skądinąd, gdy chodzi o tych, co osiągnęli pewien wysoki stopień wrażliwości i świadomości, zawsze trudniej jest wykryć powody, które powstrzymują ich od samobójstwa, niż te, które doń prowadzą".

S. B.

POLONICA

W MUROWANEJ Dąbrowie

Dalszy ciąg ze str. 1

gi, wtedy życie staje się na tydzień czy dziesięć dni naprawdę nieznośne. Dopóki z tego każdy na swój sposób nie wybrnie. Najczęściej wystarczy kilkadziesiąt złotych i ma się spokój z komórką czy z ciepłą wodą, która nareszcie zaczyna ciec z kranu. Jest wielu facetów, którzy żerują na nowych lokatorach, uczynili sobie z nich nie gasnące źródło zysków. Przecież nowi wprowadzają się bez przerwy, a wciąż jeszcze daleko do stu tysięcy mieszkańców, które Dąbrowa osiągnie na koniec. W tym roku zostanie wybudowanych trzydzieści nowych bloków czyli przybędzie trochę ponad siedem tysięcy mieszkańców. Pod koniec tego roku na Dąbrowie będzie mieszkać dwadzieścia tysięcy ludzi.

Żerowanie na ludzkim nieszczęściu zawsze spotykało się z potępieniem i odrazą. Żerowanie na szczęściu jest widocznie bardziej moralne, bo każdy oburza się dopóki nie opłaci swego haraczu. Wtedy tamci faceci dają spokój i można o wszystkim zapomnieć. Można nareszcie pomyśleć o urządzeniu sobie życia na nowych śmieciach.

To życie jest zresztą na razie rozrzucone pomiędzy śródmieściem a Dąbrową. Bo weszła już do tradycji osiedli mieszkaniowych ogromna dysproporcja między zaludnieniem, gęstością tego zaludnienia a gęstością rozmaitych placówek usługowych, bo o placówkach kulturalnych jeszcze w ogóle nie można mówić, chyba żeby się zawzięć do kiosków „Ruchu", których parę wyrosło pośród bloków. Pod koniec budowy wszystko się zbilansuje, będzie dość sklepów i rozładuje się tłok, znikną kolejki. Na razie nawet szkoła podstawowa jest tak przeciążona, że musiano uruchomić nauczanie maluchów na dwie zmiany. 1300 dzieci w wieku szkolnym. Dla niektórych zabrakło miejsca i muszą dojeżdżać do innych szkół, poza osiedlem.

Na razie życie mieszkańców jest więc porozrzucane. Ludzie dokonują zakupów wszystkiego w centrum, a miejscowe sklepiki są klapą bezpieczeństwa w razie, gdy ktoś czegoś w tym centrum zapomni. Ale też interwencyjnych zakupów jest tyle, że praktycznie rzecz biorąc lepiej nie pozwalać sobie na zapominanie. W kolejce stoi się najkrócej pół godziny. Zresztą to nic dziwnego — na dziesięć tysięcy mieszkańców otwarto do tej pory sklep spożywczy i sklep mięsny. Wprawdzie obiecano uruchomienie w tym roku na Dąbrowie nowych czterech sklepów spożywczych i trzech mięsnych, ale to nastąpi nie wcześniej niż jesienią. I obietnicę trzeba dzielić na połowę, bo sklepy buduje się tradycyjnie, z cegły, a to jednak trwa i tak samo trwa wyposażenie sklepu. I nic dziwnego że ta sytuacja ludzi złości. Bo człowiek chciałby kupować tam, gdzie mieszka i jak się to mówi, nie znać miasta. Prawda, na Kuraku była podobna sytuacja, ale zaradzono jej poprzez otwieranie sklepów w lokalach mieszkalnych. Tymczasowo. Ale na Dąbrowie się nikt o to nie postarał. Bo nawet nikt nie wpadł na pomysł przedłużenia godzin pracy nielicznych placówek usługowych do godziny dziewiątej wieczorem.

Więc ci, którzy wolą płacić niż stać w kolejkach płacą, za przejazdy w autobusach. Na Rzgowskiej przy krańcówce linii 70 istnieje właściwe city nowego osiedla. Więcej niż kilometr drogi poza tym osiedlem. Wyjeżdżający po zakupy czynią tłok w autobusach jeszcze bardziej niemożliwym.

Sklepy i autobusy są na razie jedynymi miejscami, w których ludzie mogą się spotykać. Ale wszystko jest bardzo niewygodne do zawiązywania znajomości, toteż najczęściej ludzie się nie znają. Ludzie z małych bałuckich uliczek, gdzie każdy od lat był obiektem zainteresowania innych uczą się, że można żyć anonimowo. I od razu mają inne zainteresowania i potrzeby. Wtedy zaczynają Dąbrowę lubić i chwalić sobie, że tu mieszkają. Bo można wywrócić do góry nogami cały dotychczasowy porządek życiowy bez żadnych komentarzy sąsiadów. Tu się ludzie dopiero uczą żyć.

Może jeden magiel, do którego wchodzi się przez oborę jest symbolem życia sprzed trzech, czterech miesięcy. Magiel, w którym tradycyjnie uprawia się zaściankowe praktyki. Ale większość ludzi nie pierze w domu i oddaje „na kila" do punktów usługowych, jak się coś zabrudzi. Chyba, że drobne przepierki. Zresztą pralnie w podziemiach bloków miesiącami nie są uruchamiane. Widocznie ktoś na coś czeka. Ludzie interpretują to rozmaicie, ale sytuacja nie ulega zmianie.

Ludzie uczą się żyć zupełnie inaczej, ale stare środowisko nie zapomina o nich. Soboty są nie tylko dniem sprowadzania gratów, także odwiedzin i tradycyjnego oblewania mieszkań. Z odległych dzielnic przyjeżdżają nie tylko krewni, częściej jednak dawni sąsiedzi z tej samej ulicy, z tego samego domu, którzy mieszkali w lepszych warunkach. Bo jednak w zestawieniu z Dąbrową te niby dobre mieszkania okazują się już nie takie dobre. Na Dąbrowie jest komfort, po ciepłą, bieżącą wodę z kranu, bo osiedle podłączono do elektrociepłowni. Więc oblewanie przekształca się w konfrontację. Tego co było i tego co jest. Dopiero zazdrość przyjezdnych otwiera ludziom oczy na to, jak jest naprawdę na Dąbrowie. Ale żeby to zrozumieć, trzeba pomieszkać. Miesiąc albo więcej. Tyle, ile trzeba do stworzenia małej stabilizacji. Dużej stabilizacji nie będzie na Dąbrowie jeszcze przez wiele lat. Nie tak prędko buduje się miasto wielkości Torunia czy Nowej Huty. W ciągu pięciu lat Dąbrowa dorówna wielkością Toruniowi. Przez najbliższych pięć lat każda sobota będzie dniem gremialnych przeprowadzek, a upływ tygodni będzie się odczuwać wzmożeniem tłoku w autobusie. Chyba, że będzie tramwaj, ale z tym nic nie wiadomo. I będzie można oglądać ubranych odświętnie ludzi w butach zakurzonych wapnem i nie wiadomo czym jeszcze, co zalega na początku mieszkania i klatki schodowe w nowych blokach. Tak prezentują się ci co przyjeżdżają oglądać lokale na krótko przed wydaniem decyzji przez kwaterunek. Ludzie, dla których Dąbrowa jest hasłem z grożbą. Dopóki sami nie poznają prawdy. I z uśmiechem będą zbywać zagubionych ludzi, którzy w dwa, trzy miesiące po nich przyjadą oglądać nowe mieszkania. W osiedlu mieszkaniowym wielkości wojewódzkiego miasta. Ale w osiedlu, gdzie się wszystko buduje od podstaw.

KONRAD FREJDLICH

TADEUSZ PAPIER

ODNALEZIONE MIASTO

Smutne widowisko sądowe już się skończyło, sprawa nieciekawa, o pobicie. Mój przewodnik jest ławnikiem, zrzuca togę i ubiera się w swój kożuszek, staje się na powrót takim samym człowiekiem, jak my wszyscy. Z zawodu jest rolnikiem, posiada gospodarstwo w pobliskiej wsi. Wychodzimy z sądu, przystajemy na chwilę na ulicy, jest mróz, jest śnieg, i jest słońce, cicho, bezwietrznie, domy i ludzie rysują się w ostrych konturach, a już ta biała brama cmentarna, w połowie rozwalona, na samym wzgórzu, robi prawie upiorne wrażenie, wiemy, że to jest brama na cmentarz, ale cmentarza nie widać, nawet ramienia krzyża nie widać, jest biała, ostra brama i za nią pustka, błękit, nic. Więc stoimy chwilę i patrzymy, tylko patrzymy, bo to miasteczko należy do krajobrazów dzieciństwa, i ta brama była niegdyś najupiorniejszą bramą świata, i miasteczko najpiękniejszym miastem świata.

Przed wojną Stopnica była ośrodkiem handlu bydłem, ziemiopłodami i wyrobami rzemieślniczymi. We wtorki odbywały się tutaj jarmarki, szeroki rynek zapchany był wozami, potem wozy zepchnię to na targowisko leżące niżej, tuż nad rzeczką, ale rynek i tak nic nie stracił z ruchliwości, trudno było się przez niego przecisnąć, stały stragany i straganiki, chłopi i kupcy rozkładali swoje towary, nad owocami unosiły się roje much i os, w ciągu całego dnia panował bezustanny gwar i ścisk. Na rynku odbywały się transakcje, głośne i ciche, dozwolone i niedozwolone, policjanci w granatowych czapkach i paskach zapiętych pod brodą przeciskali się między ludźmi, końmi, wozami. Sądy również się odbywały, tak jak dzisiaj, sprawy kryminalne, jak dzisiaj, cywilne, tak jak dzisiaj, ale były inne sądy także. Wieczorami, kiedy miasteczko milkło, kiedy zamierało targowisko, które za dnia było bankiem i kasą pożyczkową, kiedy kupcy zamykali swoje nędzne sklepiki i pochylali się nad zatłuszczonymi zeszytami, w których chemicznymi ołówkami zapisywali dłużników, kiedy szewcy przy lampach naftowych przybijali zelówki do podartych butów, nieznany chłop-kronikarz zabierał się również do sporządzania swojego bilansu, pisał pamiętnik na konkurs Instytutu Gospodarstwa Społecznego, opisywał swoją biedę, która była nie tylko jego biedą, wydawał surowy wyrok na czasy, że jest w nich pełno goryczy, którą człowiek musi pić, ale tak pić, żeby się nie otruł, że wszystkie nieszczęścia zwalają się na tego człowieka, i wszystko musi dźwigać na swoich barkach ten biedny chłop, a tu jeszcze ujeżdżają na nim, mordują go różnymi karami, kozami, grzebią człowieka do ostateczności. „Cuz nom tero wypodo robić, pisał, nic innego ino pracuwać, milcyć i cekać jaz sie zmini na lepse i może do Bóg ze kiedyś dockomy lepsego jutra, a jak nie my to moze nase dzieci". Żeby ten czas nadszedł jak najprędzej, pisał. Wtenczas człowiek czułby się szczęśliwy i zadowolony z życia, bo dzisiaj to nawet żyć się nie chce, „o Jezu Boże spraw lepsom dole temu co orze i obsiwo pole",

Bałem się pójść na ulicę Szewską, chociaż mnie mój towarzysz namawiał, tam również miałem przed wojną znajomych i nie wiedziałem czy ten dom ocalał czy nie, wolałem zostać przy wspomnieniach, zachować ten dom ocalały, bowiem niewiele domów zostało po ofensywie czterdziestego piątego roku. Zniszczone zostało miasto, w gruzy rozleciała się gotycka fara i wczesnobarokowa kaplica, zniknął z horyzontu ostry dach kościoła wiążący w jedną kompozycję małe miasteczko rozłożone na wzgórzu, w gruzy rozpadł się kościół Reformatów, miasteczko, które notowane było za Bolesława Wstydliwego i Kazinurza Wielkiego, przestało żyć.

Może kiedyś doczekamy lepszego jutra, pisał chłop z Piasków, a jak nie my, to mnoże nasze dzieci. U progu tego jutra ludzie mieszkali w bunkrach i lochach, pola były zaminowane. Wyszliśmy na rynek, mój przewodnik, ławnik, sędzia ludowy, na co dzień rolnik, pokazuje nową farę, wewnątrz pusta, bez malowideł, bez obrazów, na zewnątrz taka sama jak przed wojną, jak dawniej, jak za czasów Jana ze Stobnicy, autora dzieła „Introductio in Ptolomei Cosmographiam", profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i Kolegium Lubrańskiego w Poznaniu, czysta, biała, wapienna, ostrołukowa.

Więc oglądamy nową farę, i nowy budynek, wysoką, czworoboczną wieżę strażacką, która w architekturze miasteczka pełni taką funkcję, jak w Łodzi wieżowiec TV. Może jest nieco za ciężka zwłaszcza w zestawieniu z lekką i strzelistą linią fary, no ale jest i świadczy o tym, że miasto żyje.

Ta wieża kładzie koniec wzruszeniom, już nie szukamy cieni przeszłości, już nie powtarzamy bezradnej modlitwy chłopa, O Jezu Boze, spraw lepszą dolę temu, co orze i obsiewa pole, bierzemy ołówek do ręki, liczymy, szukamy nowych stosunków, nowych zależności, szukamy oblicza nowego miasta. Wykreślamy z rachunku scenę sądową, na której ludzie kłócą się jak obłąkani, powtarzają role dziadków i ojców, nie wychodzą poza tradycyjne konflikty moralne i obyczajowe, tańczą wciąż ogłupiający taniec, widowisko najbardziej smutne, jakie można sobie wyobrazić. Ale za chwilę spotykamy tych samych ludzi, którzy obrzucali się wyzwiskami, w Banku Ludowym. Właśnie ten siwy, który na rozprawie nie umiał podać nazwiska swojego zięcia, jednego z głównych winowajców, teraz jest nad wyraz rozmowny, ba, oblatany w przepisach prawnych, z ołówkiem w ręku sprawdza kwit kasowy. A przecież i na niego przychodzi chwila zaskoczenia, kiedy kierownik Banku odrzuca mu podanie o pożyczkę. Dlaczego? Podanie niepotrzebne, idźcie do okienka, podajcie nazwisko, tam wypiszą wam kwit do kasy. E, pan żartuje! Nie, nie żartuję. Istotnie podanie jest zbędne, po krótkiej wymianie zdań i złożeniu kilku podpisów chłop niedowierzająco ściska w ręku zwitek setek, patrzy na nas i na kierownika tak, jakby za chwilę świat się miał przewrócić do góry. O Jezu, Boże, jakże to, bez wstępnych zachodów, bez targów, bez żyrantów, bez dziesięciokrotnych podróży do banku!

Zaskoczony jestem i ja, a mój towarzysz, ławnik, patrzy na mnie z podejrzanym błyskiem w oczach, powiada, to jest usprawnienie naszego kierownika, każdy może wziąć nie tylko pożyczkę, ale i zaliczkę na przyszłe zbiory, zakontraktowane warzywa, owoce. No widzisz, jak się to koło zamyka, zaprowadziłem cię najpierw do sądu, żebyś się nie łudził, że stare tradycje jarmarczne już zanikły, i oto masz drugą stronę medalu. Od Sądu do Banku droga niedaleka, trzysta metrów najwyżej, a jak jednocześnie daleko, dwa światy jakże inne, ci sami ludzie w nowych rolach.

Miasteczko jest małe, jeszcze nie całkowicie odbudowane, kalekie. Tak małe, że można go z każdego miejsca objąć wzrokiem i z każdego miejsca opisać. A teraz oglądamy miasto z okien Banku Ludowego, widać stąd go najpełniej.

Przed wojną kupcy przeglądali wieczorami w zatłuszczonych zeszytach swoje rachunki, teraz kierownik Banku pokazuje nam zestawienia oszczędnościowe chłopów z okolicznych wsi. Bank — w istocie kasa pożyczkowo-oszczędnościowa — związany jest z pięcioma dużymi gromadami. Trzy i pół tysiąca gospodarstw dokonuje tu swoich rozliczeń. Bank rozpoczynał swoją działalność w roku 1946 z siedmioma tysiącami złotych, dzisiaj obraca prawie dwoma milionami złotych. Własnością Banku jest budynek wartości pół tora miliona.

Pochylamy się nad tym rozliczeniem — kierownik Banku, syn chłopa, młody człowiek, którego rozpierają coraz to nowe pomysły, ławnik-chłop, przedstawiciel Spółdzielni Ogrodniczej — chłop, i zamieniamy te miliony złotych na energię ludzką, na inicjatywy, dopiero teraz we właściwym świetle widzimy współzależność ekonomiczną wsi i miasta. A tych kanałów łączących wieś z miasteczkiem jest więcej, myśmy uchwycili zaledwie jedną nitkę. To są nici polityczne, gospodarcze, kulturalne. Spółdzielcze i kontraktacyjne. Prowincjonalne miasteczko, o którym piszą współcześni pamiętnikarze, jest powiązane ze wsią w jeden organizm. W żyłach tego organizmu płynie jedna i ta sama krew. Obiega ona serce — miasteczko i wraca na wieś, ożywia najdrobniejsze cząstki — każde gospodarstwo. Wpływa na uodpornienia cywilizacyjne i kulturalne. Powoduje stałe, nieuchronne zmiany w charakterze tradycyjnej gospodarki chłopskiej. Wpływa na zmianę postawy ludzi, nawet takich „zjadaczy chleba" jak dzisiejsi bohaterowie sceny sądowej. Bank Ludowy rozpowszechnił w ubiegłym roku konkurs p.n.: „Produkujemy i oszczędzamy". Konkurs był zaadresowany przede wszystkim do kobiet i młodzieży wiejskiej. Wzięło w nim udział 800 rolników i 60 zespołów różnych upraw. Czy plon konkursu będzie można ograniczyć wyłącznie do jego regulaminowych warunków? Czy te złotówki, które wpłyną do różnych kas nie trzeba będzie przeliczyć na inne wartości?

Rozmawiamy więc o tych sprawach z kierownikiem Banku Janem Radoszem. Za oknami już jest noc, na ulicach zapalają się lampy, ale dziś są one niepotrzebne, księżyc świeci tak jasno, że przy jego świetle można czytać gazetę. Miasto w tę białą noc wygląda inaczej niż za dnia, pogubiły się nierówności, wyrównały cienie. Na horyzoncie świecą lampy zelektryfikowanej wsi. Czy tu się kończy miasto, gdzie czernieją staruchy-lipy wokół muru klasztornego? Och, nie, być może, że to miasteczko nie poszerzy swoich naturalnych granic i na mapach wciąż będzie oznaczane najmniejszym kółkiem. Ale to kółko zawiera inną treść, na pewno już dzisiaj nie dokonujemy odkrycia, mówiąc że miasteczko jest sercem wsi, ale to stwierdzenie nabiera w naszych ustach osobliwego znaczenia. W 1933 roku chłop z Piasków pisał, że gorszych czasów już chyba nie będzie od ówczesnych. Dzisiejszy pamiętnikarz notuje: Wieś miesza się z miastem. Cuda są na co dzień. Przesądy uciekają chyłkiem.

Noc coraz głębsza, księżyc świeci coraz ostrzej i na nas czas. Ostatni autobus odchodzi za pięć minut. Za chwilę wsiądziemy do nadjeżdżającego wozu, zostawimy za sobą uśpione miasto, zostawimy ludzi, autobus odwiezie nas do naszych wsi, a my wiemy, że Jan Radosz będzie jeszcze ślęczał nad rachunkami, że sędzia Kowalczyk będzie na nowo przeżywał proces, że miłośnik miasta mecenas Stanula będzie oglądał swoje zbiory, że nauczyciele będą poprawiać zeszyty szkolne, towarzysze z Rady Narodowej będą jeszcze dyskutować o gospodarce miasta, zostawimy za sobą miasteczko dzieciństwa, to samo, a jednocześnie inne, na pewno bliższe, na nowo odnalezione.

MARIAN ZDROJEWSKI

Sprzed lat trzydziestu

„Zbrojna pomoc dla Polski", „Wiążące zapewnienia Chamberlaina w imieniu Wielkiej Brytanii i Francji", „W wypadku zaatakowania Anglii pomoc zbrojna Polski miałaby olbrzymie znaczenie. Ambasador Raczyński odbył rozmowę z lordem Halifaxem" — oto pełne frazesów tytuły, jakie na czołówkach gazet ukazywały się przed 25 laty. Tytuły, które najbliższe miesiące miały obnażyć, skompromitować i zapisać w historii jako dowody głupoty politycznej. Wśród „tłustych" nagłówków ginęły małe wzmianki będące ilustracją tego, co zwykliśmy nazywać życiem. A jeżeli już te najbardziej wstydliwe i newralgiczne detale obnażono — przystrajano je skrzętnie żałosnymi gestami ówczesnych bonzów: „wojewoda Józewski — kwestarzem. Jutro zbiórka uliczna na pomoc wielkanocną dla bezrobotnych. Dalej następowała „fischparaden" z zachowaniem salonowych prawideł, tytulatury i listy „społecznikowskich zasług".

W gąszczu frazesów odczytać jednak można inny obraz tamtych lat: „w zbiorni miejskiej dla żebraków zmarł wskutek zatrucia denaturatem były aktor Teatru Popularnego w Łodzi 54-letni Kazimierz Śmiałowski". „Na zjeździe statystyków miejskich w Poznaniu jeden z referatów wygłosił przedstawiciel m. Łodzi p. Edward Rosset... Przeprowadził on tezę, że przy najbliższym spisie ludności winny być uwzględnione zagadnienia różnorodnych postaci podnajemstwa, a więc podnajmowania: p o k o j u, k ą t a i ł ó ż k a". „16 tysięcy dzieci otrzyma paczki na święta. Jest to liczba obecnie dożywianej dziatwy."

Przytoczone wzmianki odnotowane najmniejszą czcionką w ciągu trzech pierwszych dni kwietnia 1939 r. w łódzkim „Głosie Porannym" to dopiero — zawoalowany dziennikarską paplaniną — ułamek prawdy, którą dziś po 25 latach warto przypomnieć.

Oto leży przede mną mała książeczka Jana Barta, która ukazała się w tym samym czasie: „dziecko bezrobotnych w świetlicy" — wydana nakładem Towarzystwa „Opieka", Oddział w Łodzi Tutaj właśnie „dożywiano dziatwę", wydawano paczki na świętą, co prawda znacznie mniejszej liczbie dzieci niż to odnotował reporter „„Głosu Porannego", ale zostawmy te „nieścisłości". „Oddział Łódzki Towarzystwa „Opieka" prowadzi sześć świetlic — 3 na Bałutach, 1 na Chojnach i 2 w dzielnicy od Pl. Reymonta do Zarzewa — pisze w swojej relacji z pobytu w tych świetlicach autor. — Wszystko to są tereny robotnicze, gęsto zaludnione, rachityczne od niedostatku, bardziej też dotknięte nędzą bezrobocia. W roku 1936-37 było tych świetlic dziewięć, teraz trzy zredukowano" — a więc sześć świetlic, w każdej z nich 150 dzieci podzielonych na trzy grupy. „To są wszystko dzieci rodziców bezrobotnych — wyjaśnia wychowawczyni. Ogarniam spojrzeniem drobne twarze, mniej niż skromne ubranka — i umieszczam tę gromadkę na tle dobrze mi znanego przedmieścia robotniczego Łodzi, gdzie zaułki gną się jak nogi suchotników, a rudery duszą się nie przewietrzoną nędzą... Świetlica taka stanowi dla dzieci bezrobotnych prawdziwą oazę radości. A nieraz jedyne miejsce, gdzie otrzymuje jakieś porządne pożywienie..." „Dzieci przychodzą już o wpół do czwartej. Najpierw biorą się do odrabiania lekcji, potem mają różne gry pokojowe, czytanie w bibliotece i inne nieprzymusowe zajęcia. O piątej zaczyna się podwieczorek.

Przedtem obowiązkowe mycie rąk i picie tranu. Tran? Piją bez grymasów? Ależ... ciągną jak konfitury. Przyjemność z biedy. Niektóre proszą po parę łyżek. Po podwieczorku składającym się z kawy wraz z chlebem z jakąś omastą następują pogadanki, śpiewy, wolne zajęcia. Zamyka dzień świetlicowy o godzinie siódmej wieczorna modlitwa. Dzieci wracają do domu."

Bądźmy sprawiedliwi. Obraz ten byłby niepełny gdybyśmy nie zauważyli, że obok „obfitego", jak pisze autor, pożywienia (koszt miesięczny pobytu w świetlicy wynosi 6 zł) dzieci korzystają również z innych form pomocy zarówno materialnej jak i wychowawczej: „atrakcyjne rozdawanie jest paczek żywnościowych. Na Boże Narodzenie każde dziecko dostaje: 1/2 kg strucla, 1/4 kg kiełbasy, 150 g pierników, 100 g cukierków, 100 g orzechów, pudełko szprot, 1/2 kg jabłek. Na Wielkanoc — 1 kg strucla, 1/2 kg kiełbasy, 2 jajka." Jeśli chodzi o stronę wychowawczą, to obok zabaw i — jak pisze autor — „nieprzymusowych zajęć", na które składały się między innymi nauka chodzenia po ulicy, gimnastyka i nauka cerowania, codziennie 25-30 minut przeznaczano na pogadanki. Oto niektóre tytuły: „Szanuj cudzą własność. Zima, jej skutki i radości. Pan Prezydent. O miłości narodu i ojczyzny. Wspomnienia o Marszałku".

Dzieci więc biorą już udział w przeżyciach zbiorowych narodu i Państwa, — zadaje sobie pytanie autor. A tak, urządzają obchody powstań narodowych, czczą imieniny Marszałka... Tak w kolisku tych wszystkich zajęć kształci się nowego człowieka."

Dalej autor notuje swoje impresje z zebrania samorządu: „myśl dziecięca wybiega poza stroje i sprawy rozrywki i staje w szeregach najpoważniejszych zamierzeń obywatelskich ku uczczeniu dnia imienin Pani Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej. Ale dzieci mają swoją motywację: „Z pracy Pani Marszałkowej na polu społecznym korzystamy właśnie my, dzieci polskich rodziców niezamożnych. I dzień ten musimy uczcić, by pokazać, jak jesteśmy Jej wdzięczne za pracę i trudy jakie prowadzi dla nas."

I wreszcie chciałbym zacytować przytoczone przez Barta odpowiedzi dzieci na ogłoszoną przez Towarzystwo ankietę: „Jest w świetlicy ciepło, można lekcje odrobić... Wszyscy są weseli i mają uśmiech na twarzy, ale mnie jest w tych dniach bardzo smutno, że wszyscy przy ukończeniu świetlicy będą weseli, a mnie bardzo jest smutno, że muszę z rodziną mieszkać pod gołym niebem noc no i nawet więcej... Biedna Helenka K.! — komentuje autor.

...Najlepiej kocham świetlicę, bo otrzymuję podwieczorek, którego w domu nie mam... Na świetlicę chodzę, bo jest tam ciepło i jasno. A także dlatego, że w domu nie ma co jeść...

Jeszcze warto zatrzymać się nad uwagami końcowymi autora, którymi zamknął swoje wędrówki po łódzkich świetlicach dla dzieci rodziców bezrobotnych. „Ojczyzna czeka na każdego świadomego obywatela, który do wysiłków zbiorowych musi przyrzucić swój trud. Czeka więc i na to, by dziecko rodziców bezrobotnych wyrosło na wartościowego obywatela. A czy miałoby to miejsce bez pomocy opiekuńczej świetlic? Czytając poprzednie uwagi byliśmy niejednokrotnie świadkami życia takiego, jakie toczy się w środowisku bezrobocia. Brak tu prymitywnych wygód, brak w przeważnej części oddzielnego łóżka dla dorastającego dziecka, brak potrzebnego odzienia i pożywienia. Głód i nędza czynią to środowisko mało odpornym na depresję psychiczną. Przychodzi rozstrój moralny, zrywa się więź rodzinna, dziecko wymyka się opiece rodziców. A co daje świetlica? Wyprowadza dzieci z mroku, z depresji i głodu, z chaosu nędznego i niezorganizowanego życia, eliminuje dzieci spod wpływu niezdrowego środowiska. Zatrute wyziewami miasta młode dusze przywraca się zdrowiu moralnemu i najlepszym wartościom życia, po drodze życzliwych wskazówek prowadzi je do skarbca naszej kultury, uczy miłości do ojczyzny i zbiorowego obowiązku...."

Wystarczy. Komentarz zbyteczny. Warto tylko byśmy przy omawianiu dorobku dwudziestolecia nie gubili z pola widzenia wydarzeń sprzed trzydziestu lat.

ŁODZIANIE PODRÓŻUJĄ

BORYS TYNIEWICZ

— Dlaczego, kiedy dzwoniłam z prośbą o rozmowę pytał Pan, czy mam poczucie humoru?

— Bo bez odpowiedzi twierdzącej spotkanie nie byłoby możliwe.

— Rozmawiałam z doktorem C., naszym wspólnym znajomym. Mówił, że kiedy zaczyna Pan opowiadać, wielu ludzi myśli „kpiny, czy co?"

— Byłem proszę Pani, w takim zakątku świata, który nazywa się NIC.

— „Nic". To ogromnie ciekawe!

— Z poczucia humoru ocena nie najgorsza — przystępujemy do tematu. Los rzucił mnie i prawie całą rodzinę tam, gdzie nigdy nie mieliśmy ochoty wędrować. Uwielbiam literaturę podróżniczą i mówiąc szczerze myślałem czasem o prawdziwej pustyni. Nie przypuszczałem jednak, że będzie to s a m a Sahara! Sahara po arabsku znaczy NIC. Pewnej nocy jakiś rozkiekotany francuski samolot „wyrzucił" nas w Algierze, a w trzy dni później tym samym „kiekotem" pomalowanym na biało lecieliśmy do Fort Laparrine, albo jak brzmi nazwa nowoczesna: do Tamanrasset na Saharze. Lądowaliśmy na gołej pustyni, bo na Saharze nie ma lotnisk o jakich ma wyobrażenie Europejczyk. Nie ma na świecie drugiej takiej pustki, przerażająco suchej, przerażająco cichej. Żona opuściła jedwabną chustkę — a ja myślałem, że ktoś obok zgniótł ostro szeleszczący pergamin.

— Czy nie odczuwał Pan lęku? Gazety rok w rok donoszą o śmiertelnych wypadkach na Saharze.

— Czasem wydawało mi się, że „wyparuje" ze mnie wszystko, że zostanie tylko skóra. Tak jak to się dzieje z owocami, z kartoflami. To było w dzień. A nocami zęby dzwoniły mi z zimna, spałem w ubraniu.

— Widział Pan oazy?

— Przecież to serca pustyni. A przy okazji: czy Pani wie, że Sahara o której mówi się nawet w porzekadłach: „piasek jak na Saharze" jest w gruncie rzeczy piaszczysta tylko na jednej szóstej całego obszaru. Reszta to przerażające w kształcie góry, skały, zastygłe lawy.

— Kim są ludzie mieszkający na Saharze?

— Murzyni i Tuaregowie. Żyją koczowniczo i doprawdy nie wiem z czego właściwie się utrzymują.

— Czy to prawda, że Tuaregowie mają skórę niebieską?

— O, nie, tylko ufarbowaną. Byłem zupełnie oszołomiony kiedy nocą wprowadzono nas do jakiejś nory zbudowanej z wyschniętego mułu i w tejże „budowli" zobaczyłem kobiety z twarzami odkrytymi, a mężczyzn z zasłonami. Zasłony są farbowane na niebiesko i barwnik przenosi się na ciało. Dlaczego noszą zasłony? Nie wiem. Tuaregowie to w ogóle dziwni mężczyźni: w towarzystwie kobiet np. nie palą papierosów, nie mówią o interesach, nie przyjmują pieniędzy.

— Gdzieś kiedyś czytałam, że ludzie, którzy byli raz na Saharze, tęsknią potem, chcieliby jeszcze raz pojechać?

— Pewnie jestem nietypowy. Nie tęsknię za pustynią tylko za Marynką. To moja córka, która wyszła za mąż za francuskiego lekarza i została z nim w El Golea. Mnie zaś, na moich starych Bałutach dobrze jak nigdzie na świecie.

Rozmawiała: **H. B.**

WIELKIE PIENIĄDZE

Cassius Clay wygrał swoją walkę z Listonem. Został mistrzem świata. I wtedy zaczęło się to wszystko... Zaczęło się od Cassiusa Claya. To on na konferencji prasowej powiedział, że gotów był się poddać. Że chciał się poddać. W przerwie między czwartą, a piątą rundą. Bo nagle oślepł. Piątą rundę przeboksował ślepiec. Dopiero po kilku minutach zaczął widzieć. Gdyby stało się to później, trochę później, nie byłby mistrzem świata. Sędzia Barney Felix wahał się czy już nie odesłać go do roguDlaczego oślepł? Tak raptownie, tak niespodziewanie? Clay ma gotową odpowiedź. Winien jest Liston. Namaścił jakąś żrącą substancją swoje rękawice. Badali je sędziowie? W takim razie namaścił nią ramiona. By w czasie zwarcia przedostała się do oczu Claya. Spotkało to już Machena. Machen też oślepł. Na krótko. I też w czasie walki z Listonem. Wtedy Liston wygrał. Ale tym razem nie udało się. Zwyciężył lepszy. Bo to nie była robiona walka. Nikt nie ukartował jej wyniku. Nie ustalił go wcześniej. Nikt? Doprawdy nikt?

Następnego dnia znano już certyfikat ośmiu lekarzy. Badali Listona po meczu. Certyfikat głosił, że doznał on kontuzji lewego ramienia. Nie mógł się bronić. Jest pięściarzem leworękim. Jego lewy hak? Znakomity lewy hak? Nie mógł go wyprowadzić. Przegrał. Musiał przegrać? Kiedy doznał kontuzji? On sam mówi, że w pierwszej rundzie. Czy można mu wierzyć? Pokonany mistrz kłamie. Z reguły kłamie. Kłamiąc usprawiedliwia się, tłumaczy. Może zresztą sam wierzy w swoje tłumaczenia. W przypadek. W gwałtowną, a nieprzychylną interwencję losu.

Ale oto okazało się, że Intercontinental Promotion zakupiło za 50.000 dolarów prawo wyznaczenia Clayowi następnego przeciwnika. Zakupiło je w przeddzień walki. Transakcja była najzupełniej legalna. Tylko że... Tylko że w Intercontinental Promotion ma swoje udziały Liston. Znaczne udziały. Trzyma w swoim ręku 22,5 procent akcji. Niektórzy twierdzą, że więcej. O wiele więcej. Kogóż więc wskaże Intercontinental Promotion jako przeciwnika Claya? Sonny Listona. Oczywiście, Sonny Listona. I dlaczegóż zakupiło ono prawo wyznaczenia następnego przeciwnika Clayowi przed walką? Przed walką Claya z Listonem. Czyżby liczyło się z przegraną Listona, na którą nikt nie liczył. Naturalnie, nie ma w tym nic zdrożnego. To dobrze świadczy o zmyśle handlowym kierowników przedsiębiorstwa. Ale... Ale po mieczu chodziły słuchy, że Liston nie trenował już od tygodnia. Powody? Miał kontuzję. Czy nie była to przypadkiem kontuzja lewego ramienia? Starannie ukryta przed lekarzami? Czy nie wchodził on między liny ringu, wiedząc, że przegra? Licząc od razu na rewanż? Rewanż będzie widowiskiem znacznie bardziej atrakcyjnym niż pierwsza walka. Zwłaszcza jeśli pierwszą walkę wygra Clay. I jeśli Liston będzie mógł się zasłaniać kontuzją. Rzeczywistą, poświadczoną lekarskimi certyfikatami.

Tak, boks zawodowy jest pracą. Nużącą, mozolną. Biją przy niej siódme poty. Boks zawodowy to także pieniądze. To strefa wielkich interesów. Zapewne, nie największych, dostatecznie jednak wielkich, by o niejednym rozstrzygać.

Bokser, chwytając się zawodostwa, chce się dorobić. Nie zawsze. Nie tylko. Ale często. Bardzo często. Uprawiając zawodowo boks można dojść do pieniędzy. Można zrobić je również inwestując kapitał w nieznanego jeszcze, a uzdolnionego pięściarza. Kapitał przyniesie zysk, gdy pięściarz stanie się gwiazdą pierwszej wielkości. Wtedy odbierzemy to, cośmy zainwestowali. Odbierzemy z naddatkiem. Pieniądze... Można zrobić je, obstawiając u bookmackera — oczywiście, w ostatniej chwili, tuż przed walką, tak by inni się w tym połapali — kogoś, kto powinien przegrać, a kto wbrew wszelkim oczekiwaniom wygra. Tak jak wygrał Clay. Pieniądze... Wielkie pieniądze, zaangażowane w boks.

Tu zwycięstwo nie jest zwykłym zwycięstwem. Tu zwycięstwo kosztuje. Grube tysiące. I grube tysiące kosztuje wygrana. Kiedyś Emil Griffith zabił w ringu Benny Pareta. Paret zmarł w kilka dni później, nie odzyskawszy przytomności. Sędzia powinien był wcześniej przerwać walkę. Czemu jej nie przerwał? Bo znalazłby się w wielkich tarapatach. Bo w grę wchodził tytuł mistrza świata. A co za tym idzie — pieniądze. Wielkie pieniądze.

Tu walczy się do ostatka. Do końca. Tak długo jak długo można jeszcze utrzymać się na nogach. Walka nie zawsze jest fair. Jednym z najświetniejszych mistrzów lat dwudziestych był Jack Dempsey. Tytuł swój zdobył nokautując Jessa Willarda. W zeszłym roku jeden z amerykańskich magazynów ogłosił wspomnienia Kearnsa. Kearns był menażerem Dempseya. Napisał on, że przed walką z Willardem, bandażując dłonie swego podopiecznego, użył paryskiego plastra, i zmoczył go wodą. Tak, by na pięściach Dempseya powstał sztywny, twardy pancerz.

Tytuł mistrza świata pociąga za sobą pieniądze. Znacznie większe aniżeli otrzymuje bokser zajmujący nawet wysoką pozycję w oficjalnym rankingu. A więc warto być mistrzem? Mistrzostwo się opłaca. Nie zawsze. Bokser, który wygrywa zbyt szybko nie jest kasowym bokserem. Publiczność chce widzieć walkę. Chce równych, mniej więcej równych szans obu partnerów. Inaczej nie pójdzie na mecz. Nie będzie go oglądać. Mistrz jest nadal mistrzem. Ale nie ma pieniędzy. Ale inwestycje nie przynoszą dochodu. A przecież muszą go przynieść. Więc mistrz przegrywa. Wpierw zapewniwszy sobie rewanż. Bo rewanż ściągnie publiczność. Ba za prawo transmisji rewanżu zapłacą firmy telewizyjne. Można zażądać od nich więcej niż żądało się do tej pory. Można zdobyć pieniądze. Wielkie pieniądze. Wychodząc na ring. I walcząc. Do końca. Do ostatka.

Punch

ROBERT PENN WARREN

PUSZCZA

TŁUMACZYŁ BRONISŁAW ZIELIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

wpatrując się w ową twarz w gasnącym świetle, zaczął stopniowo uświadamiać sobie, że centrum jego uwagi rozszerza się od niej, niby koliste zmarszczki od punktu styku, gdzie kamień wrzucono do wody. W trakcie tego poszerzania się kręgu uprzytomnił sobie, że nad dachami przelatuje z krzykiem mewa. Ale spostrzegł także, iż odzież na ciele została zdarta więcej niż w połowie, być może pochlastana, i wszędzie tam, gdzie odsłaniała ciało, było ono ciemne. Z początku myślał, że jest to kolor zaschniętej krwi. Ale popatrzył w dół. Zwisające stopy, bose, były ciemnobrunatne. Znów spojrzał na ciemną twarz. I wtedy już wiedział.

Była to twarz czarnego człowieka, Murzyna. Był to pierwszy czarny człowiek, jakiego widział w życiu.

I w tym momencie rozpoznania uprzytomnił sobie, że ów ból współczucia, którego zrazu doznał, sądząc, że ciemna barwa ciała jest oznaką męki duszenia, teraz zniknął. Z przypływem wstydu, nawet desperacji, pomyślał, że gdy tylko rozpoznał w tym człowieku Murzyna, tamto najgłębsze, instynktowne współczucie krwi zaczęło ucichać. „Czyż mogę być aż tak podły? — zapytał sam siebie. — Czy to możliwe?"

Ażeby coś odzyskać, przyjrzał się znów twarzy, popatrzył na zwłoki. Stwierdził, że odzież istotnie pochlastano i że ciało jest pokryte głębokimi cięciami. W słabym świetle nie uświadomił sobie z początku tego faktu. „Schnąca krew wygląda ciemno — pomyślał — jak ciemna skóra".

Krew przyschła — ciemna krew na ciemnej skórze. A potem spostrzegł, że ostatnia powolna, nabrzmiewająca kropla spada z jednej ze stóp. Spojrzał na tę stopę. Jej palce odcięto. Wzrok jego powędrował z powrotem ku rękom związanym wstydliwie z przodu. Myślał — jeżeli myślał cokolwiek — że palce były zagięte do wewnątrz. Teraz dojrzał prawdę. Palców nie było.

Spostrzegł się, iż patrzy chciwie, nabożnie na to okaleczenie, mając nadzieję, że coś się stanie w jego sercu. Niegdyś w Bawarii, kiedy był małym chłopcem, zobaczył starca, który przystanął przed małą przydrożną kapliczką, padł na kolana i zapatrzył się w święte rany. Wówczas on, mały chłopiec, schował się za krzak, aby popatrzyć. Przyglądał się tak przez godzinę z górą. W końcu stary podczołgał się na klęczkach i dźwignął, aby przycisnąć wargi do rany w boku. Chłopiec Adam zastanawiał się, dlaczego. Teraz przypomniał sobie tę scenę i pomyślał, że oto nareszcie po wszystkich innych odpowiedziach, znalazł właściwą. Ów starzec czekał, by coś się stało w jego sercu.

Zastanawiał się, czy stało się coś w sercu tego starego człowieka.

Jednakże w tej chwili nie działo się nic w jego własnym. Nic, oprócz suchego, drżącego wstydu, że nic się nie dzieje.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i usiadł na krawężniku wpatrując się w ciało. Może coś jeszcze się stanie. Mewa wróciła, lecąc teraz wyżej, wrzasnęła i znikła w gęstniejących ciemnościach. Nadbiegł pies i polizał kamienie pod zwisającymi stopami. Stóp nie mógł dosięgnąć. Adam zdołał się dźwignąć i odpędził psa. Potem wrócił i usiadł znowu.

Troje dzieci, bardzo brudnych, rozkudłanych i niechlujnych — dwie dziewczynki w wieku około siedmiu i dziewięciu lat, ciągnące dwuletniego chłopczyka z gołym zadkiem — podeszło i przystanęło, aby popatrzyć na zwłoki. Adam wstał znowu i ruszył ku nim wymachując nie wiedzieć czemu rękami. Czy chciał zapytać, co to się stało? Czy też odpędzić dzieci?

Tak czy owak dziewczynki uciekły ciągnąc między sobą chłopczyka. Adam wrócił na krawężnik. W głębi ulicy dosłyszał dzieci śpiewające jakąś piosenkę. W resztkach światła dojrzał je z dwojgiem innych dzieci, tańczące kołem, ciągnące małego chłopczyka.

Gdyby tylko coś się zdarzyło — myślał — mógłby wstać i pójść dalej w swoją drogę. Gdyby coś zdarzyło się w jego sercu.

A potem nasunęła mu się pewna myśl. Rebelianci; oni jednak muszą tu być. To tłumaczyłoby wszystko. Przedarli się przez miasto. Może nie Lee, ale ten ich wielki kawaleryjski zagończyk. Jak jego nazwisko? Stuart — o, właśnie. Wyobraził sobie przejeżdżającą kawalerię rebeliancką. To oni powiesili tego samotnego czarnego, dla przestrogi. Pojechali dalej i wzniecili tamte pożary na północo-wschodzie. Tak, to właśnie to: rebelianci.

Poczuł się znacznie lepiej. Tak, uczynili to rebelianci.

Wstał, zabrał torbę i ruszył w kierunku północnym. Minął latarnika idącego po drugiej stronie ulicy — stąpającego chwiejnie starego człowieka. Pohamował chęć zapytania go co się stało. Miał ochotę uciec z tego miejsca.

Zerknął przez ramię i zobaczył, że latarnik skręcił, aby ominąć słup, na którym wisiały zwłoki. Nie zapalił tej latarni. Nieco dalej Adam znowu obejrzał się przez ramię. Spostrzegł, że następna latarnia została zapalona.

Wtedy to właśnie dosłyszał ponownie krzyki, teraz już znacznie bliższe. Może były to mimo wszystko okrzyki zwycięstwa.

Może Stuarta odparto.

Ujrzał tłum ludzi wynurzający się na jego ulicę, w stronie północnej, o dwie przecznice dalej. Krzyczeli i wymachiwali pochodniami. Nie mógł rozeznać słów. Poszedł ku nim. Minął skrzyżowanie i zauważył, że inny tłum zbliża się od wschodu. Szedł dalej ulicą usiłując rozróżnić słowa.

Nagle serce w nim drgnęło i uprzytomnił sobie, że krzyczy biegnąc naprzód. Chciał przyłączyć się do tych, którzy się weselili.

A potem dojrzał błysk światła na stali. Ktoś potrząsał karabinem z nasadzonym bagnetem. Zobaczył drągi i pałki, którymi wymachiwano w powietrzu. Przystanął. Obejrzał się przez ramię i stwierdził, że tamten drugi tłum wlewa się za nim w ulicę. Znalazł się między jednym a drugim.

Pierwszy tłum był już prawie przy nim. Na przedzie dojrzał masywną kobietę, z rozpuszczonymi rudymi włosami, twarzą spoconą i czerwoną od blasku pochodni, w sukni rozerwanej prawie do pępka. Potrząsała nożem rzeźnickim i krzyczała. Dosłyszał słowa: „Łapać czarnuchów! Łapać ich!"

Byli już przy nim. Okręcił nim napór ludzkich ciał. Poczuł zapach whisky i potu. Stał się cząstką tłumu, który parł naprzód i skręcał w boczną ulicę, na zachód. Ściemniło się, była już noc. Pochodnie podskakiwały nad ciżbą.

Tłum ryczał, kotłował się i unosił Adama trzymającego kurczowo swą torbę.

Podczas chwilowej przerwy w ścisku Adam dostrzegł w świetle pochodni wychudłego, rosłego wieprza umykającego dziko przed ludzką masą. A potem zniknął w mroku. Tłum wypełnił od brzegu do brzegu ulicę — raczej zaułek niż ulicę — ale Adam nawet przy tym świetle widział, że domy tutaj są brudne, nędzne, zmurszałe, niektóre zaś trzymają się jeszcze tylko cudem. Bramy — jeżeli miały bramy, a nie tylko ziejącą czeluść — były pozamykane. W żadnym z okien nie paliło się światło. I wtedy Adam usłyszał trzask, potem krzyk i gdzieś wyłamano drzwi.

Przez chwilę napór ciał na jego ciało pofolgował, bo po wyłamaniu drzwi część tłumu wtargnęła do mrocznego wnętrza. A potem napór powrócił i fala poniosła Adama ku wejściu do sąsiedniego domu. I te drzwi także trzasnęły, i napór znowu osłabł na chwilę. Ponad wrzaskiem motłochu Adam dosłyszał jeden cienki, czysty krzyk wewnątrz domu.

Wpośród tego żałosnego krzyku zgiełk nagle ustał, jak gdyby wszystkich w tej samej sekundzie urzekło piękno owego głosu. Kiedy krzyk zamilkł, trwała jeszcze przez chwilę ta urzeczona cisza. A potem ozwał się przenikliwy, gardłowy pomruk, który wypełnił ulicę. I wreszcie wrzask kobiety:

— Łapać czarnuchów! Łapać!

Kiedy wyłamano następne drzwi, Adam poczuł, że tłum znosi go ku prawej stronie ulicy. Usłyszał trzask jeszcze jednych drzwi i wrzaski, które mu odpowiedziały. W drgającym świetle pochodni dojrzał ciało, ciało żywego i szamoczącego się mężczyzny, które podawano sobie od progu ponad głowami, podtrzymywane, popychane i przerzucane naprzód dziesiątkami rąk niby wiór w wezbranym ścieku. A potem prąd wessał ciało.

Dźwignięto w górę inne, potem następne, wreszcie ostatnie — teraz już blisko — którym okręcano wciąż z jakimś dziwacznym opóźnieniem. Na chwilę, w blasku pochodni, Adam dojrzał czarną twarz i biało wytrzeszczone oczy. Potem tę twarz przekręcono do dołu. A potem była już przy nim.

Niepojętym sposobem tłum mimo takiego ścisku cofnął się, by zrobić nieco miejsca i ciało zostało wessane w ów wir. I zanim zaczęła się robota, legło w poprzek stóp Adama Rosenzweiga.

Jakaś kobieta pochyliła się, wydała ostry, przeciągły, podobny do rżenia wrzask i wbiła nóż w udo leżącego, nie nazbyt głęboko, po czym rozpruwającym ruchem szarpnęła nim do dołu. Adam dosłyszał jak ostrze — a nie był to duży nóż, właściwie niewiele większy od scyzoryka, coś, co porwano w pośpiechu z kuchennego stołu — prułodrelich spodni mężczyzny. Ten, wpatrzony w górę, nie wydał żadnego głosu.

— Łapać czarnuchów! — usłyszał Adam za sobą.

Obróciwszy się, zobaczył, że to tamta tęga kobieta z rozpuszczonymi rudymi włosami.

Na jej ryk z tuzin ludzi, mężczyzn i kobiet, pochyliło się, kucnęło lub przycupnęło nad leżącym usiłując dobrać się do jego ciała nożem, pięścią, pazurami czy kijem. Jednakże było ich zbyt wielu, aby to zrobić naprawdę skutecznie. Przepychali się i roztrącali. Wykrzykiwali przekleństwa i łżyli siebie wzajemnie. Jeden z mężczyzn podniósł okrwawioną dłoń. Jakiś drań — twierdził — skaleczył go. Ludzie — skarżył się — powinn trochę uważać.

Ale oni po prostu nie chcieli uważać. Cisnęli się i rozpychali. Któregoś pchnięto tak silnie, że wywrócił się na wznak w tłum, upadł płasko na zadek pozostawiając na chwilę puste miejsce — i w tym momencie i w tym pustym miejscu Adam spojrzał w dół i spostrzegł, że mężczyzna leżący na ziemi patrzy mu prosto w oczy.

Do tej chwili stał tam jak w transie, z krwią pulsującą pod czaszką, mdłościami wzbierającymi w żołądku, bez tchu, zmrożony na całym ciele. Teraz, jak za zaklęciem, ku swemu wielkiemu zdumieniu schylił się, by chwycić za ramiona tych, co przycupnęli najbliżej niego. Wypuścił z rąk torbę i targał ich do tyłu. Krzyczał: Nie! Nie!"

Krzyczał: „Stójcie!" Nie pozwoli, aby na świecie działo się coś takiego. Popróbował wyrwać nóż jakiemuś przykucniętemu mężczyźnie, który wytrzeszczył na niego oczy w bezsilnym zdumieniu.

A potem ów mężczyzna stawił mu opór. Mówił, że to jego nóż. Klął okropnie Adama Rosenzweiga.

Ale tęga kobieta z rozpuszczonymi rudymi włosami i rozerwaną suknią wykrzyknęła, zgorszona taką niesprawiedliwością:

— Do licha! Daj szansę temu niskiemu!

I właściciel noża dostał kopniaka w pośladki jej butem.

— Masz! — powiedziała i wyciągnęła nóż do Adama Rosenzweiga, nie ten jej własny wielki nóż rzeźnicki, ale narzędzie całkiem odpowiednie, przykro jej było, że niski nie ma nawet noża, ale wszystko musi być uczciwie i sprawiedliwie, mówiła i ona dopilnuje, żeby było uczciwie i sprawiedliwie. W istocie oddawała mu własny zapasowy nóż.

— Bierz go! — zachęcała Adama. — Bierz i rżnij mięso!

Adam wziął go. Poczuł nóż w dłoni. Tłum cisnął się wokół niego. Najbliższych kilkunastu znowu usiłowało dobrać się do tamtego. Adam pod ich naporem na wpół się przygiął, na wpół pochylił. Dojrzał błysk jakiegoś dźgającego ostrza. Chichotliwy wrzask wypełnił mu uszy, a po nim chrapliwy, gardłowy ryk. Ścisnął rękojeść noża. Czuł jak mięśnie mu się naprężają. Czuł szaleńcze uniesienie. Czuł, że musi pchnąć tym nożem. Skulił się, zacisnął w dłoni rękojeść i wiedział, że pchnie.

Wtedy właśnie wymioty napłynęły mu do krtani.

Upuścił nóż. Zdołał cofnąć się trochę. Ktoś się przepychał, by zająć jego dogodne miejsce. Porwał go wir odpływającego w bok tłumu. Zniósł go ku wyłamanym przed chwilą drzwiom domu. Znalazł się w środku. Wąska sień była pełna ludzi. Przyciśnięto go do jakichś drzwiczek. Ustąpiły pod jego naporem i wśliznął się przez nie w zupełną ciemność. Przynajmniej zrobiło się zupełnie ciemno, gdy tylko pchnął drzwi i zamknął je za sobą. A potem upadł.

Akcja nowej powieści Roberta Penn Warrena, „The Wilderness" — powieść ta, pt. „Puszcza", ukaże się w przekładzie Bronisława Zielińskiego nakładem PIW — rozgrywa się w Stanach Zjednoczonych w latach wojny między Północą a Południem. Bohater powieści, Adam Rosenzweig, porzuca rodzinną Bawarię i na pokładzie statku „Elmira", wiozącego ochotników, którzy zaciągnęli się do armii Jankesów, odpływa do Ameryki. Wierny ideałom swego ojca, który w roku 1848 stanął na barykadach Berlina, pragnie walczyć o wolność: przeciw rebeliantom i właścicielom niewolników. Ale doświadczenia pierwszego dnia pobytu na ziemi amerykańskiej będą dla młodego Bawarczyka nieoczekiwanie gorzkie. Fragment, który drukujemy, mówi właśnie o owym pierwszym dniu Adama w Stanach Zjednoczonych. Akcja fragmentu rozgrywa się w Nowym Jorku.

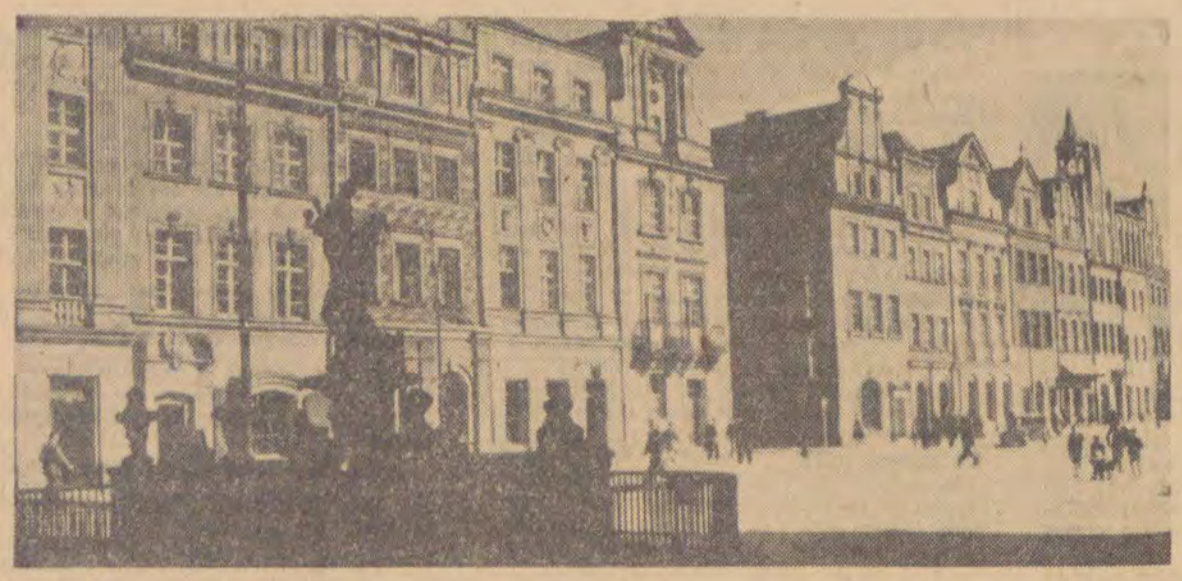

Poznań. Stary Rynek po odbudowie. **Fot. S. Laskowski**

List z Poznania

Łodzianin, stający w centrum Starego Miasta Poznania (Krakowa czy Warszawy), uświadamia sobie szczególnie dotkliwie brak w naszym mieście, w Łodzi, właśnie owej parowiecznej autentycznej starzyzny grubych murów, krużganków, podcieni, tego co stwarza atmosferę i zapaszek historii. Oni, poznaniacy, potrafili ładnie zrekonstruować ten swój Stary Rynek — Ratusz i czworobok pięknych renesansowych kamieniczek, ozdobionych płaskorzeźbą, sgraffitami, malowidłami. Jeszcze parę lat temu wszystko to — odbudowane z ruin i odrestaurowane — miało wygląd nieco zbyt świeży, takie to było błyszczące, trochę nuworyszowskie, wypucowane średniowiecze. Teraz wszystko spatynowało się ładnie i — jak powiada premier w „Nagim Królu" — cieszy oko.

Kiedy tak sobie stałam na Rynku, patrząc na koziołki trykające się właśnie rogami na wieży Ratusza, wzrok mój padł na dwa całkiem nowoczesne wystawowe skrzydła Arsenału, wbudowane w renesansowe przybudówki ratusza. Przypomniał mi się trochę Ratusz Rotterdamski a i piętnastowieczna bremeńska uliczka Butcherstrasse (też centrum sztuki). Te dwa miasta podobnie starały się połączyć odrestaurowane zabytki z nowoczesnymi budynkami ale zrobiły to nieco harmonijniej, stosując płynniejsze, łagodniejsze przejścia.

Poznański środek Rynku jest nieco zakalcowato załtoczony, brak tej architekturze powietrza, tak jak wielu ciekawym budynkom Nowego Jorku, np. Muzeum Gugenheima, katedrze św. Patryka; poznańska oszczędność i chęć wykorzystania każdego skrawka miejsca trochę mi przypomina w tym wypadku architektów Manhattanu.

W dolnej sali poznańskiego Arsenału też zaznacza się swoisty ścierający się układ nowoczesności ze starowiecznością. Wystawa malarstwa i rzeźby abstrakcyjnej Jana Berdyszaka szokuje formatem obrazów. Berdyszak na wzór europejskiego średniowiecza, zwłaszcza XIII wieku, zrywa z zasadą klasycznego prostokąta obrazów olejnych, jego obrazy to przeważnie okrągłe lub półkoliste struktury, w których „rozgrywa się dynamiczne starcie płaszczyzn barwnych i świetlnych, „głuchych" i lśniących przebiegających przez pole obrazu, zmagających się z nim i walczących siłą wzajemnego naporu na siebie".

W górnych, świetnie pomyślanych i rozwiązanych salach wystawowych Arsenału — także rozgrywa się swoisty dramat: mimowolne, oczywiście, starcie polskiej, nowoczesnej fotografiki z tradycyjną grafiką radziecką, prezentującą zresztą przeważnie ilustracje do książek. Z tego starcia wynika niezachwiana w swej logice przesłanka: dzisiejsza sztuka nie ma co chodzić w zawody z fotograficzną wiernością wobec przedmiotu (tak żywego jak i martwego). Oko i kamera fotografa — artysty coraz szerzej zagarnia pole widzenia i działania naśladowców i odtwórców przedmiotu, efekty artystycznej kompozycji fotografii nieraz przewyższają osiągnięcia tradycyjnie rozumianej sztuki przedmiotowej.

Ta poznańska ekspozycja 130 fotografii „BARWY DNIA" MARIANA KUCHARSKIEGO (udział w wystawach wszystkich kontynentów świata, wiele nagród i wyróżnień) — jest poematem lirycznym o mieście (Poznaniu), o jego zmartwychwstaniu z okupacyjnego zniszczenia, ale liryzm Kucharskiego jest utrzymany w powściągliwej tonacji przez kontrastowanie nastrojów pogodnych i sentymentalnych surowością i szorstkością scen rodzajowych, ucieczką od wymuskanej ładności nowoczesnej architektury w „szare" sceny przedmieścia, ucieczką w ogóle od dosłowności ku metaforyce („okupacja" — rozdarte korzenie wyrwanego z korzeniami drzewa, „powrót do życia" — koślawy rysunek kredką dziecka, rysowany na ścianie zrytej pociskami). Arcyciekawym novum jest kompozycja wystawy: podzielona na trzy cykle — ŚWIT — DZIEŃ — NOC — skupia uwagę widza na swoich trzech punktach centralnych, którymi są przerywniki poetyckie — umieszczone na planszach wiersze poetów poznańskich Ratajczaka, Daneckiego i Kogula, podbudowujące nastrój i podkreślające myśl konstrukcyjną wystawy.

A propos dobrej roboty — warto zaznaczyć, że wystawa ta powstała dzięki specjalnemu stypendium z fundacji Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego.

Zmysł organizacji, organizacji od podstaw udziela się nawet przybyszom osiadłym w Poznaniu po wojnie. Oto Poznań teatralno-muzyczny jest świadkiem przemyślanego natarcia na widza, który w ostatnich latach zaczął uciekać z sal teatralnych i koncertowych.

Teatry poznańskie postanowiły zapełnić wyludniające się widownie, nie idąc na artystyczną łatwiznę, która działa przysłowiowo jak piguiki, nie przerywając snu. Cóż więc Marek Okopiński robi od roku w Poznaniu. Próbuje działać dwutorowo. Po pierwsze szuka repertuaru oryginalnego, nie granego, a także tych sztuk z klasyki światowej, które jakoś korespondują z problemami współczesnymi. Teatr Nowy więc daje prapremierę polską komedii (uwaga: komedii) Corneille'a „Iluzja", świeżo przełożonej przez Stanisława Hebanowskiego w smakowitej „francuskiej" reżyserii Marii Straszewskiej; ten sam teatr dał prapremierę „Wiecznego Małżonka", adaptacji utworu Dostojewskiego pod tym samym tytułem, zrobionej przez młodego aktora i kandydata na reżysera Stanisława Brejdygania (Łódź powtarza tę pozycję). (Opera Poznańska także daje polską prapremierę opery dziecięcej nie byle kogo bo Beniamina Brittena „Pozwólcie nam zrobić operę" — czyli „Wesoły kominiarczyk". „Don Juan" Moliera wreszcie, w Teatrze Polskim, jest próbą nowego odczytania tej sztuki przez Okopińskiego — reżysera. Ten poznański Don Juan (Pietraszaka) jest współczesnym „gniewnym", zbuntowanym, obrażonym na świat człowiekiem, który otwarcie i prowokacyjnie robi to, co robią także wszyscy, ale pod maską obłudy. Inna sprawa czy tekst daje pełne pokrycie na taką interpretację molierowskiej myśli i jak to wypadło aktorsko? Ten Don Juan jest nieco monotonny i patetyczny w swoim burkliwym tonie.

Oprócz tego ataku artystycznego Okopiński podjął dla zapełnienia widowni działania natury administracyjno-organizacyjnej. Teatr poznański wychodzi do widza, do szkół, fabryk, klubów i świetlic, gdzie daje — nie całe spektakle, ale najciekawsze ich fragmenty poprzedzane prelekcjami, zamykane dyskusjami i gawędami zachęcającymi w rezultacie do obejrzenia całości przedstawienia. Premiera „Pokusy" Gawlika odbyła się w sali teatralnej Warsztatów Naprawczych Taboru Kolejowego, teatr wciąga poza tym w orbitę swego działania nauczycielstwo, studentów, uczniów starszych klas licealnych, kierowników zespołów amatorskich, świetlic, kibiców artystycznych, zapraszając ich na dyskusje po każdej premierze. Wtedy to właśnie decyduje się, czy dana sztuka ma pójść na przedstawienia szkolne, czy kierownicy k.o. zdecydują się na masowe zakupienie biletów dla załóg fabrycznych.

Mówiono mi, że wiele podobnych prób podejmowano w Łodzi, że robotnik nie lubi teatru w obrębie swojej fabryki, że wreszcie nic nie wpłynie na podniesienie frekwencji, jeżeli sam teatr swoim repertuarem i jego inscenizacją nie przyciągnie człowieka pracy do teatru. Ale to też zapatrywanie dyskusyjne. Bądźmy wreszcie cierpliwi, zaczekajmy, kto w tych zapasach kogo zwycięży: Okopiński społeczność poznańską czy na odwrót? Bo jak do tej pory także i w Poznaniu ludziska gęściej walą na operetkę niż na dramat.

Ale nie wbijajmy w dumę poznaniaków, znajdźmyż także piegi na tym obrazku. Rok temu z poznańskiego Zamku wyprowadzono Radę Narodową i wszystkie inne urzędy. Poznań bowiem, zapatrzony w stolicę, aczkolwiek jeśli chodzi o ambicje artystyczne lubi się odżegnywać od wszelkich naśladownictw — także zapragnął mieć swój Pałac Kultury. Do Zamku wprowadzono więc wszystkie zespoły teatralne, amatorskie, chóry, kółka recytatorskie itp. itd. Potem okazało się, że sprowadzonym nieco na siłę zespołom jest w Zamku ciasno, bo niby miejsca tam dużo — ale w obszernych hallach, w zamkniętych pomieszczeniach — za mało. Dziś wreszcie dyskutuje się, że w tym Pałacu Kultury za dużo... kultury: ciągot do sztuki, elitarnych zakusów (nagle kultura stała się czymś elitarnym"!), że Pałac Kultury powinien służyć „technicyzacji młodego pokolenia. Ano, chcieliście Pałac, no to go macie, sku...mbrie w tomacie!

„A coś w rodzaju zabawnych skandalików „na niwie" macie?" — pytam moich cicerone. Śmieją się: „U nas wsio!" Oto w ubiegłym roku nagrodę za upowszechnienie kultury przeznaczoną dla twórców, otrzymał... kierownik wydziału kultury, powołany przecież z urzędu, płatnie, do tej właśnie funkcji. Tyż piknie. A w ramach oszczędności i kompresji etatów, na etatach aktorskich w teatrach zatrudnieni zostali ostatnio... strażacy. I teraz taki pan w złotym kasku z sikawką w ręce, stojący przez trzy godziny spektaklu za kulisami, pobiera tyleż uposażenia co aktor, który ma za sobą szkołę średnią, wyższą, próbuje kilka godzin przed południem i gra po południu. Słowem — genialna ta kompresja. Na miarę geniuszy epoki. Ale na usprawiedliwienie dodajmy: strażak też bywa niekiedy aryślą. Oto pewnego razu któryś z nich podczas przedstawienia wyszedł z kulis na scenę i w groźny sposób wygłosił „kwestię" do aktora, któremu właśnie z roli wypadło zapalić papierosa: „Zgaś pan — powiedział — te cygaretkę, tu zaś ale polić nie wolno!"

WANDA KARCZEWSKA

Poznań, koniec lutego 1964 roku.

ANDRZEJ NADOLSKI

ZWIERZENIA ARCHEOLOGA

Nie mam telewizora. Ostrzeżony przez kolegów, którzy już padli ofiarą tego pożeracza czasu, dzielnie stawiam czoło wysiłkom skoalizowanej rodziny, namawiającej mnie na kupno potwora. Obawiam się zresztą, że jak tylu innych ulegnę w końcu i zamiast zajmować się czymś pożytecznym będę godzinami wlepiał oczy w oszklony ekranik i... narzekał na program telewizyjny. Na razie jednak pozostaję poza kręgiem fascynacji: tylko z opowiadań (i z napisów na murach!) dowiaduję się o losach najnowszych bohaterów narodowych: Zorro, Wilhelma Tella, czy Robin Hooda. Nic dziwnego, że poczułem się zaklopotany, gdy ktoś znajomy zapytał mnie czy filmowa opowieść o przygodach Robin Hooda trafnie oddaje epokę wojen krzyżowych? Jak tu oceniać film na niewidziane? I w dodatku film poświęcony sprawom na pozór tak odległym od historii Polski!

Bo nie da się zaprzeczyć, że ruch krucjatowy, który przez długi czas kształtował oblicze dziejów średniowiecznej Europy, w naszym kraju nie święcił bezpośrednich sukcesów. Z podręczników, z książek popularyzujących wiedzę historyczną bez trudu możemy się dowiedzieć jak mizerny był udział naszych przodków w zbrojnych wyprawach do Palestyny. Skończyło się na wystąpieniach jednostek. Władysława Wygnańca, Henryka Sandomierskiego, Jaksy z Miechowa. Opinię ogółu reprezentował chyba Leszek Biały, gdy w odpowiedzi na papieskie zachęty tłumaczył się, że do Palestyny nie pociągnie, bo to i daleko i za morzami, a zresztą w tamtych krajach pija się wodę i wino, których on nie znosi, przywykł do piwa i miodu... A jednak echo Wypraw Krzyżowych, echo związanej z nimi ideologii dochodziło do Polski. Mało kto pamięta, że nawet na terenie naszego województwa można odnaleźć miejscowość, która dwukrotnie znalazła się w jego zasięgu.

Jeśli opuścimy Łódź w kierunku zachodnim przez Aleksandrów i Pod dębice, jeśli miniemy Uniejów, przejedziemy na lewy brzeg Warty i skręcimy z szosy w wąską drogę wysadzaną topolami, trafimy do wsi noszącej nazwę Spicimierz. Na pozór nie różni się ona od wielu innych. Rozsiadła się wśród rozległych, zielonych łąk i pastwisk, otaczają ją kręte starorzecza Warty, która dziś ujęta w silne ramy wałów przeciwpowodziowych, niedawno jeszcze rozlewała się swobodnie po całej dolinie. Nad starorzeczami rosną olchy, pachnie cierpko mięta, a na ciemnej wodzie płasko leżą kręgle liście grzybieni. Jest cicho i trochę odludnie. Z dala, poza Wartą, bieleją ściany domków w Uniejowie.

Uważniejszego przybysza zastanowi jednak dziwny, zawiklany kształt osady. Uliczki, placyki i zaułki łączą się i rozdzielają po wielokroć, tworząc istny labirynt. Biada obcemu, który usiłuje tu gdzieś trafić po nocy! Znawcy uważają, że takie bezładnie rozplanowane wsie powstały w czasach odległych. Milczącym świadkiem owych czasów jest grodzisko wznoszące się na skraju pól, w łąkach, w zakolu starorzecza. Gdy ktoś poszpera w średniowiecznych źródłach pisanych, dowie się, że w Spicimierzu istniała niegdyś kasztelania, a jeszcze wcześniej dwór arcybiskupi. Na kartach zapisków z początku XVI wieku odnajdzie nazwiska ówczesnych spicimierzan i przekona się, że do dziś powtarzają się one wśród mieszkańców wsi. Nie często można spotkać w Polsce taki wypadek.

Badania nad dziejami Spicimierza rozpoczęliśmy przed dwoma laty. Spenetrowaliśmy wnętrze grodziska, próbowaliśmy określić najdawniejszy zasięg, szukaliśmy wreszcie kościółka, który według kroniki Galla — Anonima istniał tu już w pierwszych latach dwunastego stulecia. Nie znaleźliśmy go; szkoda, bo właśnie z nim wiąże się szczególnie dramatyczny moment spicimierskich dziejów. Niechaj jednak opowiada sam Gall, własnymi, trochę skróconymi słowami: jest wczesny ranek jednego z letnich dni roku 1108 „Marcin arcybiskup gnieźnieński, przystępował przed kapłanem do spowiedzi w swoim kościele w Spicimierzu. I byliby wszyscy razem tam zginęli, lub dostali się w więzy niewoli, gdyby nie to, że którysś ze służących, stojących na zewnątrz, rozpoznał broń nadbiegających, dopadł do drzwi kościoła i krzyknął, że nadchodzą Pomorzanie. Wtedy arcybiskup, ksiądz i archidiakon zatrwożeni zwątpili już o życiu doczesnym. Broni żadnej, służba nieliczna, wróg w bra-

mie, a kościół drewniany, tym łatwiejszy do podpalenia! Archidiakon chciał przez zakryty krużganek dostać się do koni. Lecz opuszczając bezpieczne schronienie właśnie zaszedł drogę wpadającym Pomorzanom. Schwyciwszy go poganie ucieszyli się, sądząc, że to arcybiskup; umieściwszy go na wózku nie wiązali, nie bili, lecz strzegli z szacunkiem. Tymczasem arybiskup Bogu się polecił i ten starzec drżący nie zawahał się wyleźć tam, gdzie chyba tylko jako młodzik nie lękałby się wspinać. Kapłan zaś weisnął się za ołtarz i tak obaj uniknęli rąk wrogów. Albowiem pogan wbiegających do kościoła tak oślepił majestat Boski, że żaden nie wpadł na myśl, by wyleźć na górkę lub zajrzeć za ołtarz".

Zawsze z wielkim smakiem czytam ten opis barwny i dynamiczny, niczym scena z dobrego filmu; przy znam się po cichu, że w czasie badań w Spicimierzu nieraz oczami wyobraźni widziałem toczący się ku wsi obłok kurzawy i migocące w nim zbroje i znaki Pomorzan... Ale dopiero teraz, przy okazji rozmowy o telewizyjnym Robin Hoodzie pomyślałem, że wraz z zagonem pomorskim zawitał do Spicimierza odblask Wypraw Krzyżowych. Zakon ów był rewanżem za polskie najazdy, za zdobyty Białogard, złupiony Kołobrzeg, za rozpoczętą właśnie przez Bolesława Krzywoustego systematyczną akcję podboju pogańskiego Pomorza. Lektura kroniki Galla nie pozostawia żadnej wątpliwości: wojny pomorskie miały wyraźny charakter wojny z niewiernymi, z „perfidnymi poganami", były lokalną, polską namiastką krucjaty. Rycerstwo Bolesława Krzywoustego niosąc miecz i ogień poza Noteć torowało drogę chrystianizacji, oczywiście przymusowej i dokonywanej pod nadzorem zdobywców. Dodatkową premię za udział w tej imprezie stanowiły skarby nagromadzone w bogatych miastach nadmorskich.

Ani arcybiskupowi Marcinowi, ani tym bardziej wojownikom pomorskim nie śniło się nawet, że po upływie z górą dwustu lat okolice Spicimierza znów staną się widownią wypadków pośrednio związanych z krucjatami. O wypadkach tych zachował się cały szereg relacji. Szczególnie wymowną złożył „dominus Johannes advocatus de Uneyow" czyli pan Jan wójt z Uniejowa. Odnajdujemy w niej całą grozę dnia, w którym nad Uniejowem rozlała się łuna pożaru, a na ulicach nieszczęsnego miasteczka zapanowały rzeź, gwałty i grabież. Dominus Johannes ratował się ucieczką do Spicimierza. Niewiele to pomogło, bo nazajutrz gródek spicimierski również uległ przemocy. Kim byli najeźdźcy? Kim byli ludzie, którzy palili domy i kościoły, mordowali uniejowskich mieszczan, znęcali nad kobietami, grabili „złoto, srebro i sukna i konie i szaty i ozdoby"? Dominus Johannes zidentyfikował ich bez trudu: „mieli czarne krzyże na białych szatach zwierzchnich, a na ich chorągwiach widniał krzyż czarny w białym polu". I my dobrze wiemy, czyj to był strój i czyje znaki, ale nie zawsze pamiętamy dość jasno, że Zakon Krzyżacki wyrósł w ideologii Wojen Krzyżowych i stał się uosobieniem tego, co w nich było złe i zakłamane, a jak żadna chyba organizacja potrafił połączyć wzniosłe pozory z najbardziej niegodziwą rzeczywistością. Sama jego nazwa w pełnym brzmieniu — „Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie" — przypomina palestyńskie początki, a godło barwą tylko różni się od tych czerwonych krzyżów, które przypinali sobie na płaszczach uczestnicy pierwszej krucjaty.

Kto wie czy właśnie długie i jakże uciążliwe sąsiedztwo mnichów — zbrodniarzy nie przyczyniło się do tego, że w późniejszych dziejach Polski tak stosunkowo niewiele znaleźć można śladów zaciekłego fanatyzmu? Może także i z tego powodu z pogodnym pobłażaniem patrzymy na indyferentyzm Leszka Białego, a słusznie szczycimy się słowami, które na Soborze w Konstancji padły z ust Pawła Włodkowica, rektora świeżo odnowionej Krakowskiej Akademii: „Nie wolno nawracać pogan na wiarę chrześcijańską mieczem lub uciskiem, ponieważ sposób ten połączony jest z krzywdą bliźniego. Nie należy czynić rzeczy złych, aby osiągnąć dobre". Nie takie hasła głosili przywódcy Wypraw Krzyżowych.

O wierszach JANA HUSZCZY

„To moje prawo: pracowity
zwyczajny śpiewać ludzki
dzień"...

Poezja Jana Huszczy ma swój ton. Nie poddaje się modom. Jest konsekwentnie swoja, osobna, powiedziałabym nawet — przekornie osobna wobec prądów i zmienności drążących naszą poezję poprzez wszystkie pokolenia. Otrąbione zwycięstwo „awangardy", nurtów poszukujących i nowatorskich minęło poezję Huszczy bokiem. Właściwie jednak nie jest to ściśle. Polemika z nowoczesnymi modami literackimi przewija się poprzez wiersze Huszczy i odzywa się niekiedy niecierpliwym słowem sporu z poetami, którzy „błądzą wśród odległych skojarzeń, albo siedzą na bezludnych wysepkach z metafor". Łączy się z tym wstręt do snobizmu charakterystyczny dla satyrycznego spojrzenia Huszczy, a nawet jakby programowy „prowincjonalizm".

W wierszu „Prowincjusz" pisze poeta:

„W Moskwie — omijając główne ulice —
szukałem brodatych brzóz,
w Paryżu — uciekając nad Sekwanę —
szukałem wierzb."

W tej polemice z nowoczesnością i tzw. wielkim światem poezja Huszczy samookreśla się jako poezja obca myślowym spekulacjom i filozoficznej dociekliwości. Jest to i w liryce i w nutach satyrycznych poezja autentycznego przeżycia, poezja dnia powszedniego i prostych ludzkich uczuć. Poezja dla ludzi i o ludziach, z myślą o nich pisana. To warunkuje również kształt tej poezji, niewymuszoną prostotę strofy, melodyjność wiersza, niechętne i sporadyczne tylko rezygnowanie z regularności strofy i z rymu. Wiersz Huszczy jest w tonacji bardzo polski, głęboko tkwiący w tradycji poezji XIX wieku, bliski liryzmowi Lenartowicza i Syrokomli. Poza tym jednak, ze względu na kresowe związki z kulturą rosyjską, odcisnął się na melodyce tego wiersza wpływ poetów rosyjskich, przede wszystkim Puszkina, ale także Niekrasowa i Jesienina.

Krajobraz lat dziecięcych poety, krajobraz Wileńszczyzny, ten sam, do którego tęsknił nad Sekwaną Mickiewicz, przepaja tę poezję jedynym, niepowtarzalnym kolorytem. Jest w tej poezji wieś i małe miasteczko przechodzące bezpośrednio w wioskę, w ośnieżone ogrody i pola, gdzie hula zadymka, gdzie dzwonią dzwoneczki u sań, gdzie chwieje się brzoza. Ten sam krajobraz jakże inny w deszczu:

„Deszcz spokojny, pracowity
jakby z wielu srebrnych sit",

ten sam krajobraz wraca we wszystkich światłach pogody i nie pogody.

Wybór poezji Huszczy przynosi wiersze z powojennego okresu twórczości, gdy poeta osiadł na stałe w Łodzi. Nie jest to jednak poeta, który mógłby żyć pośród obojętnego krajobrazu. Jego liryczna wyobraźnia rozpoczęła natychmiast gorliwą pracę oswajania, przyhołubiania nowego kraj obrazu, nowego otoczenia. Wybór Huszczy jest więc niemal pamiętnikiem lirycznym tej mozolnej, lirycznej pracy, przerywanej powrotami i wspomnieniami kraju lat dziecięcych.

Poeta wrósł w miasto, z którego do Paryża jedzie się na Zduńską Wolę, wrósł w miasto, które uczy „zwyczajny śpiewać ludzki dzień" i szukać prostej radości pośród ludzi ciężkiej pracy. Przeniósł poeta swój liryzm także na Ziemie Odzyskane, na Pojezierze Mazurskie. Mimo to raz po raz wyobraźnia poety wraca do stron, „gdzie na cmentarzach w lip gęstwinie są drogie mi mogiły". Poezja Huszczy wyraża uczucia i przeżycia całych gromad ludzi przesadzonych ze Wschodu na Ziemie Odzyskane. Tak właśnie odczuwają oni swoją sytuację. Myślą nie tylko o życiu spędzonym w rodzinnych stronach, ale i o cmentarzach i o domach, gdzie „w oknach umarłych twarze". Huszcza wyraża w swych wierszach uczucia setek i tysięcy przesiedlonych Polaków, z których każdy może o sobie powiedzieć „mieszkam w innym domu i nad inną rzeką".

Poezja Huszczy nie tylko wyraża ich nostalgię, uczy nowego, trudnego patriotyzmu lokalnego, uczy kochać nowe strony, ukazuje ich piękno, piękno dnia powszedniego, małe radości, które mogą stać się wielkimi. W wierszu o synku uczącym się czytać, poeta mówi żartobliwie: „Jasiu, Jasiu, cierpliwości!" Każda nauka jest trudna. Trudna jest także nauka nowego patriotyzmu, nowych miłości, nowych przywiązań, nowego dnia. W tej lirycznej nauce poezja Huszczy wykazuje aktywną żarliwość, działa lirycznym obrazem, osobistym wyznaniem to perswazją, to żartem. Lirycznym katalizatorem tej poezji jest zawsze miłość ziemi i przyrody.

Przyroda jest siłą liryczną. Przyroda jest ratunkiem dla człowieka zmęczonego życiem w wielkim mieście. W przyrodzie objawiają się prawa ludzkiego życia i przemijania, prawa losu. Zaduma nad przemijaniem ludzkiego życia na tle przyrody rodzi jakąś mądrą tej sprawy aprobatę.

Dobrze, że na bogatej i różnorodnej mapie poezji polskiej mieści się poezja Huszczy, poezja w swoich założeniach moralno-artystycznych skromna i nienapuszona. Prosta, rzewna, czasem żartobliwa, czasem przywołująca ton gawędy ludowej i żołnierskiej, poezja cierpliwa i sławiąca „ogrodniczą cierpliwość" i dobroć, która „umie czekać na złote święto dojrzałości". Poezja wyrozumiała dla człowieka, nie gromka, ale przyciszona i odwołująca się do źródeł tradycji.

Z pewnością nie wszystkie wiersze Wyboru są na jednym poziomie. Czasami melodyjny 9 i 8 zgłoskowiec może znużyć na dłuższą metę czytelnika przyzwyczajonego już do innej, bardziej sprozaizowanej, nowoczesnej poezji. Czasem poeta epatuje banałem, jak innego typu poezja drażni wymyślnością. Ale są też w Wyborze wiersze w całości piękne, jakby z jednej bryły, na jednym oddechu lirycznym. Najważniejsze jednak, że poezja ta jest własną, wielką sprawą poety. Nie sili się na oryginalność typu formalnego, niesie swój osobisty i ciepły ton.

W okresie inflacji wierszy wykoncypowanych, sztucznych, które przypominają martwe, choć nieraz dobrze zrobione mechanizmy, wierszy, w których nie tli się nawet iskierka poezji — powinniśmy tym bardziej cenić i szanować rzetelną autentyczność poezji Jana Huszczy.

ANNA KAMIEŃSKA

Jan Huszcza „Nowy wybór wierszy" Wydawnictwo Łódzkie 1963, str. 215.

tajemnice SUKCESU

Na łamach francuskiego tygodnika „Cinemonde" kilka znakomitych gwiazd filmowych m. in. FERNANDEL, MICHELINE PRESLE („Diabeł wcielony", „Baryłeczka" i in.), JEAN-PIERRE CASSEL („Dowcipnić", „Igraszki miłosne"), MELINA MERCOURI („Nigdy w niedzielę") wypowiada się na temat mechanizmu i źródeł sukcesów w karierze filmowej.

Gwoli nauce i rozrywce naszych czytelników, pozwolimy sobie przytoczyć kilka fragmentów ich wypowiedzi. Na pytanie „co pana(i) zdaniem decyduje o powodzeniu w karierze aktorskiej? Fernandel odpowiada: „1. Umiejętność zdobycia sympatii publiczności, 2. Opanowanie rzemiosła".

MICHELINE PRESLE: Przede wszystkim talent, indywidualność i szczęście.

JEAN-PIERRE CASSEL: cierpliwość, wiara i praca.

MELINA MERCOURI: Fotogeniczność, zdrowie, wytrzymałość na wszelkie niepowodzenia i kaprysy losu oraz dobry agent reklamowy.

Czy zawód aktora przypomina inne zawody?

Odpowiada **FERNANDEL.** Absolutnie nie. Należałoby go uczynić takim jak inne, lecz to bardzo trudne. Niektórzy z nas prowadzą wprawdzie normalne życie rodzinne, ale jakże często obowiązki zawodowe odrywają nas od rodziny. Nie możemy obserwować jak rosną nasze dzieci. Wielu aktorom brak równowagi wewnętrznej. Nie, w żadnym razie nie można tego zawodu porównywać z innymi.

MICHELINE PRESLE: Każdy zawód jest inny. Łączy je tylko fakt, że dzięki nim możemy gorzej lub lepiej żyć. Film dla wielu z nas stanowi główne źródło utrzymania i podobnie jak adwokat z równym przekonaniem podejmuje obronę przestępcy i niewinnego, tak i aktor zmuszony jest często grać w pierwszym lepszym filmie. Tym gorzej jeśli to jest akurat chała.

JEAN-PIERRE CASSEL: Po namyśle, sądzę, że to taki sam zawód jak inne. Przynajmniej tak go należy traktować na podobieństwo zawodu lekarza lub adwokata, w których indywidualność odgrywa również znaczną rolę. To jest właściwie wolny zawód, tylko bez konieczności posiadania dyplomów. Kiedy się jest zerem w matematyce, kiedy się nie zna języków obcych, i nie ma zamiłowania do studiów filologicznych a za to wstręt do prawa i medycyny, wtedy kariera aktorska wydaje się szczególnie łatwa i atrakcyjna. Pozostaje tylko uwieńczyć ją sukcesem.

MELINA MERCOURI: Ach, nieprawda. Gra to nałóg, namiętność, potrzeba. Ci, którzy ją traktują jako zawód nie są prawdziwymi aktorami. Są tacy, co idą do teatru jak do biura. To nie są dobrzy aktorzy.

Pytanie: Jak pan(i) godzi pracę zawodową z życiem prywatnym?

Mówi **FERNANDEL:** Moim zdaniem, chwilowa nieobecność zacieśnia więzy rodzinne. Nie ma większej przyjemności jak powrót na łono rodziny po dłuższej nieobecności. Mawia się zazwyczaj: ach, ci artyści, jakież oni życie prowadzą. A w naszym zawodzie wcale nie ma więcej rogaczy niż w innych. Tylko więcej się o tym mówi. A czy słyszeliście kiedyś, żeby jakiś aktor został oskarżony o zbrodnię lub napad? U nas jest mniej skandali niż gdzie indziej. Jeśli się chce, można całkowicie oddzielić życie prywatne od życia zawodowego.

MICHELINE PRESLE: Znakomicie godzę moją karierę aktorską z życiem prywatnym. Zresztą ważniejsze jest dla mnie to ostatnie. Dlatego nie muszę nic ukrywać, chociaż, jak wiadomo każdy kij ma dwa końce i niektórzy ukrywają starannie swoje osobiste sprawy po to, by cały świat mógł je poznać.

JEAN-PIERRE CASSEL: Kocha z rzędem temu, kto da mi dobrą na to receptę. W każdym razie nasze życie prywatne wygląda nieco inaczej niż to sobie wyobrażają. A czasem nawet zupełnie inaczej. Prasa snuje różne przypuszczenia, wymyśla pikantne szczegóły, tworzy całe romanse. A prawdy nikt nie zna. Potrafimy strzec w razie potrzeby naszych tajemnic.

MELINA MERCOURI: To problem nie do rozwiązania. W innych dziedzinach też trudno pogodzić życie prywatne z zawodowym, a cóż dopiero mówić o artystach. W przypadku zaś tzw. „superstars" to zupełnie niemożliwe. Być gwiazdą, bóstwem, mieć u swoich stóp sławę i świat, a do dyspozycji pierwsze strony wszystkich magazynów ilustrowanych i być jednocześnie żoną i matką — to zupełnie nie do pogodzenia. Nie można robić dwóch rzeczy na raz. Albo się jest aktorką, uwielbianą przez tłumy, albo mieszczaneczką która ceruje mężowi skarpetki.

Pytanie: Czy poparcie, przypadek, szczęście odgrywają jakąś rolę w karierze aktorskiej?

Odpowiada **FERNANDEL:** To na pewno w znacznej mierze kwestia szczęścia, kiedy się „odkrywa" jakiegoś młodego aktora. Teraz, jeśli ten debiutant ma talent, to i tak, wcześniej czy później zostanie odkryty. O tym czy dany aktor zostanie gwiazdą decyduje i tak publiczność. W hierarchii aktorskiej istnieje zresztą wiele szczebli: artysta, gwiazda, supergwiazda, bóstwo itd. Łatwo się w tym zgubić.

MICHELINE PRESLE: Sądzę, że te czynniki są b. ważne. Znamy wielu aktorów, bardzo utalentowanych, którzy z różnych i zupełnie pozaartystycznych przyczyn nie zrobili wielkiej kariery. Czasem z powodu nieumiejętności postępowania, złej taktyki lub braku odpowiednich stosunków.

JEAN-PIERRE CASSEL: Wszystko się liczy, nawet wydarzenia polityczne i kryzysy finansowe. Ludzie rodzą się pod mniej lub bardziej przychylnymi gwiazdami. Szczęście też trzeba umieć kontrolować. Nie wolno mówić: nie mam szczęścia. Należy mówić: to moja wina. W istocie, szczęście wcale nie istnieje. Przypatrzcie się wielkim sukcesom. Odnosili je ludzie, którzy początkowo nie mieli szczęścia. Jouvet, który bełkotał, Aznavour, który był mały i brzydki. Fortuna, uśmiech losu bywa często przeszkodą. Kiedy wszystko przychodzi zbyt łatwo, nie ma o co walczyć, traci się charakter. Powodzenie osiągają ci, którzy pracują, a nie ci którzy czekają aż im manna sama spadnie z nieba.

MELINA MERCOURI: Moim zdaniem, ważne jest i szczęście i poparcie i przypadek a do tego jeszcze talent i kultura. Jeśli ma się talent, można zawsze spotkać ludzi wpływowych, których poparcie okaże się użyteczne. W każdym razie, aktor musi się starać żeby o nim mówiono, dobrze czy źle, to nie gra roli. Wszystko jest bowiem lepsze od milczenia. Aktorki, które mówią, że nie zależy im na reklamie, kłamią. Nawet największej gwieździe, odrobinka reklamy nie zaszkodzi.

Pytanie: Czy wyznaczył(a) sobie pan(i) termin zakończenia swej kariery aktorskiej?

Odpowiada **FERNANDEL:** Ten moment wyznacza publiczność. Kiedy patrzę na Chevaliera, myślę, że mam jeszcze trochę czasu.

MICHELINE PRESLE: Nie myślę o tym. Przeszłość się nie liczy, przyszłością się nie zajmuję. Żyję wyłącznie teraźniejszością.

JEAN-PIERRE CASSEL: Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale mam nadzieję, że doczekam przynajmniej emerytury.

MELINA MERCOURI: Będę grać aż do śmierci. Będę grać nawet mając szklane oko, drewnianą nogę i sztuczną szczękę. Aż do ostatniego tchu.

Oprac.
MARIA KORNATOWSKA

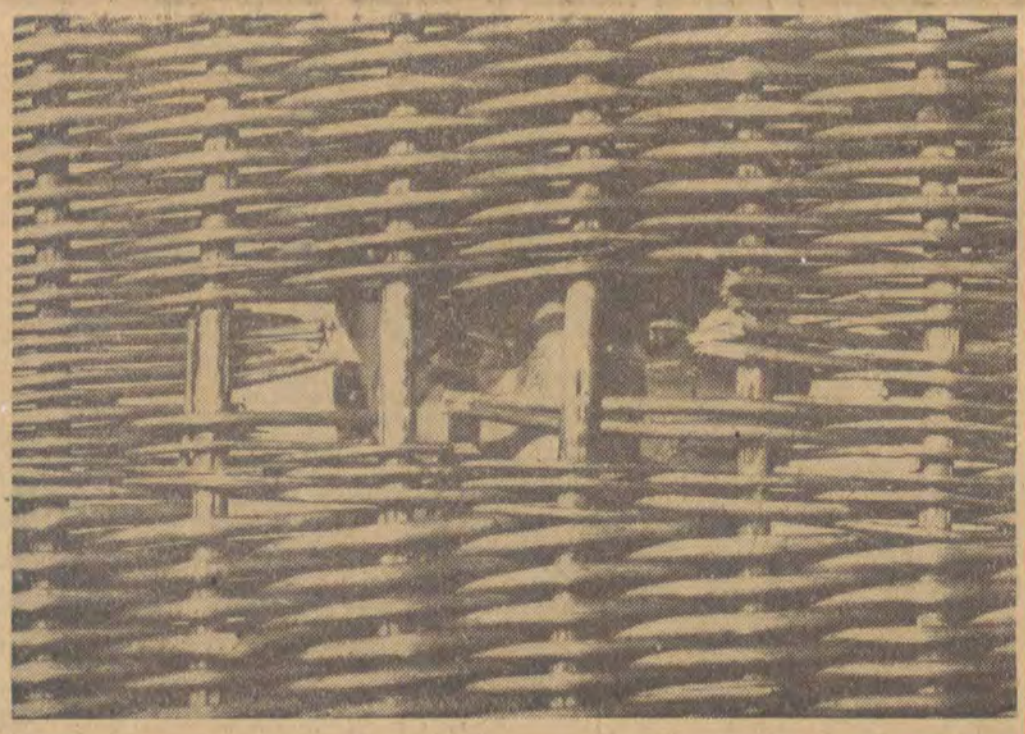

WYSTAWA TRZECH

Trzy nazwiska; trzej łódzcy fotograficy występujący ze swoją pierwszą ekspozycją. Właściwie można by napisać: trzej młodzi fotograficy — bo Maciejewski, Pukaczewski i Walter choć wiekiem nie najmłodsi i fotografię uprawiają od dobrych paru lat, to jednak w szeregi „zawodowców" wstąpili stosunkowo niedawno; zasilając ubogi liczbowo oddział łódzki Związku Polskich Artystów Fotografików.

Ich prace spotykaliśmy dotychczas przede wszystkim na łamach miesięcznika „Fotografia", ale na przykład Walter fotografik o temperamencie i refleksie reportera publikował także swoje zdjęcia w prasie. Dlatego znany jest już kapitalny, dowcipny „Święty Antoni i spółka" — jedno z najlepszych zdjęć wystawy. Pozostaje także w pamięci zwiedzającego „Spojrzenie przez kosz" uchwycone przez Pukaczewskiego czy czarno-białe fotogramy Maciejewskiego.

Wśród kilkudziesięciu eksponowanych prac, wśród portretów, aktów, reportaży i pejzaży zwiedzający mógł niejako wybierać. Jednemu podobał się „Akt z dłonią"; drugiemu „Pejzaż ze stogami"... Ekspozycja była po prostu bardzo różnorodna tematycznie i w tym też tkwi chyba przyczyna, dla której na wystawie Maciejewskiego, Pukaczewskiego i Waltera było tłoczno.

J. W.

CO TO MA BYĆ?

Programy telewizyjne dzielą się na dobre, złe i wartościowo obojętne. Ponieważ jednak dotychczas nie udało się ustalić kryteriów, które jednoznacznie pozwalałyby stwierdzić, które programy są złe, a które dobre, ocena telewizyjnych wysiłków znajduje się w ośrodku stałych fluktuacji. To, co jedni uznają za wartościowe, drudzy odrzucają z całą bezwzględnością. Tak zresztą, jak w wypadku wszelkiego oceniania, gdzie o zaakceptowaniu czy o zanegowaniu decydują nie tyle raz na zawsze przyjęte i skostniałe wyznaczniki wartości, ile przyjęta w określonym momencie postawa wartościująca. Oczywiście nie przeszkadza to scharakteryzować bliżej owych odbiegających od siebie postaw. A przynajmniej scharakteryzować ich przez wskazanie na konkretne przykłady. Entuzjasta kabaretu Przybory i Wasowskiego mniej chętnie ogląda „Robin Hooda" i na odwrót, wielbiciel szlachetnego bandyty wyłącza telewizor w momencie ukazania się planszy „Piosenka jest dobra na wszystko". Są to zresztą przykłady krańcowe; przy możliwie najbardziej nawet rozbieżnych postawach znajdzie się miejsce na oceny zgodne co do walorów filmu, widowiska, reportażu. Niewątpliwie więc istnieją dwie możliwości: albo nam się coś podoba, interesuje nas i wtedy na pewien okres zapominamy, że telewizor to moloch pożerający czas, albo nam się nie podoba i przestajemy odbierać sygnały płynące z ekranu.

Ale rola telewidza nie jest rolą prostą i sprowadza się nie tylko do nieskomplikowanej przechadzki między dobrem a złem. Los uwikłał go również w znaną z codziennych doświadczeń sytuację, kiedy to trudno jest orzec, czy coś należy przyjąć czy coś odrzucić. A kiedy tak się dzieje? Przede wszystkim wtedy, gdy nie rozumiemy natury przedmiotu, o którym przychodzi nam się wypowiedzieć. I tu właśnie bierze swój początek tajemnica programów telewizyjnych, które nazwaliśmy wartościowo obojętnymi. Nazywając je zaś tak, mieliśmy na myśli programy należące do bardzo różnych gatunków sztuki telewizyjnej, więc i przedstawienie teatralne, i filmy, i sprawozdania reportażowe, i dysertacje naukowe, i widowiska rozrywkowe — słowem programy z wszelkich dziedzin twórczości telewizyjnej. Byłoby niewątpliwie trudno wyróżnić spośród programu owe pozycje wartościowanu nie podlegające, trudno choćby ze względu na ich odmienne rodowody, gdyby nie fakt, że w rozeznaniu pomaga określone pytanie, zawsze to samo, pojawiające się na ustach telewidza w momencie, gdy ogarniają go wątpliwości co do walorów programu, pytanie — co to ma być? Z wypiekami na twarzy, z rosnącym zainteresowaniem oglądamy sytuację przedstawioną na ekranie i w końcu pada: co to ma być? w czym rzecz? o co chodzi? jak reagować? Z nadzieją czekamy, że może w końcu pokaże się Hitchcock i w dobrych, prostych słowach pomoże zrozumieć, albo przynajmniej spiker przeprosi za zakłócenia w emisji. Ale program ustalonym, sobie tylko wiadomym trybem, biegnie do końca. Na końcu wiemy zaś tyle, ile na początku. Wątpliwości rosną i na pewno nieznośnie komplikowałyby życie, gdyby nie to, iż jest ich tak dużo, że pomału zaczyna się je traktować coraz mniej poważnie. Przykłady? Oto one.

Przede wszystkim wiecznie aktualny Doktor Kildare w odcinkach. Co to ma być? Filmowy sposób zapobiegania wypadkom drogowym? Czy tylko opowieść o ładnym chłopcu, który na dodatek jest mądry? Dla czyjego dobra ten film?

Program z cyklu „Spotkania z przyrodą". Okazuje się, mówi pani prowadząca spotkanie, że wiosna jest czymś absolutnie różnym od przedwiośnia. I ilustruje tę tezę taśmą filmową, na której widać pożar lasu w sierpniu.

Dzień Kobiet. Jakże wysławię twe imię? — martwi się telewizor. Różnie. Trochę poezji, tej najtkliwszej, że poziomka jest łzą, trochę dziwnych efektów akustycznych (gdy po Chopinie miast aplauzów słychać śmiech), ale głównie wiele muzyki. Jeśli przez przypadek kobieta nie jest jej twórcą, to przynajmniej muzą. Wszelkie pytania na temat koncertu łagodnie tłumi kojąca „Legenda" Wieniawskiego.

W ten mniej więcej sposób każdego tygodnia troskliwie dostarcza się telewidzom dwie, trzy pozycje do gruntownego przemyślenia.

Na koniec robocza refleksja: wydawało się, że pytanie — co to ma być? — zaklasyfikuje jednoznacznie poniedziałkowe „Łupu cupu". Ale po obejrzeniu trzech kolejnych odcinków rzecz się wyjaśnia: to ma być satyra.

MIKS

Otwarcie PARASOLA

Tak się nauczyliśmy mówić. Z lekkim jakby lekceważeniem. No bo my, Polacy i my mieszkańcy największych miast jesteśmy przyzwyczajeni do jubileuszów. Nawet jak się otwiera zakład pogrzebowy, to też paradnie i z pompą. Załodze życzy się stu lat życia i sukcesów w pracy (to jedyny wypadek, kiedy nas nie cieszy wykonanie przed terminem planu). Podobnie uroczyście na otwarciu sklepu z mięsem. Albo, wstyd pisać, publicznego szaletu, choć większy wstyd, że się ich otwiera za mało. Jest tego jak widać dużo, o rozmaitej gradacji powagi i potrzeb. Toteż w tym częstym — gęstym „otwarciu parasola" umykają uwadze zjawiska o prawdziwej społecznej randze. A takie warte podkreślenia zdarzenie zaszło ostatnio.

Kamieńsk w pow. piotrkowskim jest jedną z tych osad naszego województwa, o które trudno się nawet dopytać w Łodzi. Jest jednocześnie jedną z tych osad, gdzie istnieją ogromne potrzeby ludzi w dziedzinie odbioru wszystkiego, co się kulturą zwie. Niekłamane zainteresowanie. Trzeba było spróbować dostać się do tej sali szczelnie wyładowanej publicznością napierającą na pierwsze rzędy ławek. Do tej sali, w której nie było ani jednego wolnego miejsca na dwie godziny przed otwarciem setnego w województwie łódzkim Klubu Prasy i Książki „Ruchu". Tego samego „Ruchu", którego zgrabne samochodziki rozwożą prasę do kiosków. Tego samego „Ruchu", który jest ambasadorem kultury w najodleglejszych zakątkach kraju. „Ruch" i Związek Młodzieży Wiejskiej wspólnie roztoczyli mecenat kulturalny we wsiach i osiedlach województwa łódzkiego. W przeciągu dwu lat szereg opuszczonych świetlic, nierzadko lokali o najdziwniejszym przeznaczeniu zamienił się w kluby wyposażone w aktualną prasę, telewizory i ekspresy do parzenia kawy. Widzieliśmy klub, który powstał na strychu nowo zbudowanego bloku mieszkalnego. Czwarte piętro, a ta wysokość sama przez się mówi wszystko o jego bywalcach. Są to przede wszystkim ludzie młodzi, im oddano te wszystkie kluby w pacht. Trzeba zresztą przyznać, że często inicjatywa młodych wyprzedzała pomoc organizacji społecznych i „Ruchu", który najwięcej zrobił na polu otwierania klubów. W jednej z osad młodzi w czynie społecznym zagospodarowali starą, opuszczoną kuźnię. A podobnych przykładów dałoby się podać więcej.

Więc otwarcie po raz setny „parasola" jest wydarzeniem nie lada jakim. Bo liczba ta odbija w jakiś sposób wysiłek, który działacze kulturalni, jak chociażby dyrektor „Ruchu" mgr Żychliński, włożyli w zadanie urbanizacji wsi i miasteczek i stworzenie tam zaplecza kulturalnego, którego nie powstydziłyby się większe miasta. Bo liczba ta odbija zarazem ogrom rzeczy do zrobienia jeżeli uprzytomnić sobie, że w samym województwie łódzkim są 3 tys. gromad i że w każdej powinien powstać taki lub podobny do kamieńskiego klub, który może otworzyć „Ruch", ale równie dobrze ZMS czy ZMW, Związek Nauczycielstwa Polskiego czy też Gminna Spółdzielnia.

Klub czyli miejsce spotkań towarzyskich i spotkań z przedstawicielami tzw. „wielkiego świata": z pisarzami, aktorami, reżyserami itd. Miejsce stałych odczytów. Może koncertów? Może salon wystawowy? W Kamieńsku zupełnie dobrze prezentowały się płótna Łukasika.

Klub czyli miejsce, które wywołuje kulturalny niepokój. I miejsce, które zobowiązuje. Do działania. Miejsce na nową inicjatywę. Na wszelkiego rodzaju pomysły. Dobre pomysły.

Klubo-kawiarnia czyli azyl dla wszystkiego, co się kulturą zwie.

JERZY DARNAL

„Unanswerable Question Hovers Over Courtroom". Pytanie, na które nie otrzymamy odpowiedzi, krąży nad salą sądową. Taki tytuł nosi szkic wybitnego dramaturga amerykańskiego, Arthura Millera, autora „Czarownic z Salem" i „Widoku z mostu", opublikowany w „New York Herald Tribune" (7—8 marca 1964). Miller pisze o frankfurckim procesie oprawców z Oświęcimia. Nie tylko o procesie. Pisze o Niemcach. O przeszłości i przyszłości narodu. I o jego teraźniejszości.

„Ponad salą sądową we Frankfurcie, gdzie 22 SS-manów jest sądzonych za morderstwa popełnione w Oświęcimiu w czasie drugiej wojny światowej, krąży pytanie, na które nie można dać odpowiedzi. Czy ruch, podobny temu, który dał władzę życia i śmierci takim ludziom, może jeszcze kiedykolwiek zrodzić się w Niemczech?"

Tak się rozpoczyna szkic Millera. Oto pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Nie ma, ponieważ ci, którzy niegdyś posiadali władzę nad życiem i śmiercią milionów ludzi, dziś mówią: nam kazano. Czy jutro powiedzą to samo? I czy znów znajdzie się ktoś, kto im każe mordować? Takie są pytania Arthura Millera. Lecz kim są ci, którym kazano? Kim są owi ludzie, którzy zasiedli na ławie oskarżonych we Frankfurcie? Przed dziewiętnastu laty, w roku 1945, mówiono: to mordercy. Dziś mówi się: to mordercy. Ale kim byli wczoraj? Kim byli przez owych dziewiętnaście lat? Czy — po dokonaniu zbrodni przeciw ludzkości — ukrywali się przez całe lata? Czy byli poszukiwani? Czy byli ścigani? Czy byli mordercami? Wiemy, kim byli i wie o tym Arthur Miller. Byli mordercami. Byli mordercami przez owych dziewiętnaście lat, każdego dnia, każdej chwili. Byli mordercami, ponieważ nie ma byłych morderców i morderców aktualnych, ponieważ ten, kto zamordował, bez względu na to, czy zamordował wczoraj, czy dwadzieścia lat temu, jest mordercą. Ale będąc, przez dziewiętnaście lat, mordercami, byli jednocześnie szanowanymi obywatelami swego kraju. Szanowanymi, przeciętnymi, porządnymi obywatelami. Nie wyróżniali się niczym spośród swoich współczesnych. **„Niektórzy z nich — pisze Miller — stali się ludźmi interesu, porządnymi i fachowymi pracownikami. Założyli rodziny i zajmowali nawet odpowiedzialne stanowiska w swoich społecznościach. W chwili aresztowania nie byli ludźmi wyrzuconymi poza nawias społeczeństwa czy pijakami: pracowali lub odpoczywali na łonie swych rodzin."** Dwadzieścia lat temu mordowali, ponieważ im kazano, ponieważ tego żądali od nich ci, którzy sprawowali władzę. **„Bo kto, będąc w tym kraju — pisze Miller — nie słyszał ludzi, mówiących: „Gdybym ja tego nie uczynił, uczyniłby to ktoś inny; przeto mogłem to uczynić."** Przez dwadzieścia lat byli porządnymi obywatelami, ponieważ tego żądali od nich ci, którzy sprawowali władzę. Co zrobiliby jutro gdyby nie zasiedli na ławie oskarżonych? Znów wykonywaliby rozkazy. I znów rozgrzeszaliby siebie i innych: przecież i tak ktoś by to zrobił...

Tym, co przeraża niektórych Niemców — pisze Miller — i czyni z Niemców po dziś dzień wielką niewiadomą dla cudzoziemców, jest skłonność tego narodu do psychicznego i moralnego załamywania się wobec idącego z góry rozkazu".

Tragedią narodu niemieckiego, twierdzi Miller, to tragedia posłuszeństwa. Ale czy ślepe posłuszeństwo jest okolicznością łagodzącą?

„Fundamentalnym założeniem tej rozprawy jest fakt, że nie może być okoliczności łagodzących dla tych którzy świadomie i planowo zabordowali 6 milionów mężczyzn, kobiet i dzieci, bez względu na to czy otrzymywali czy nie otrzymywali rozkazy. Około 6 tysięcy SS-manów pracowało w Oświęcimiu w ciągu czterech lat istnienia obozu i nie znamy ani jednego, który odmówiłby wykonania otrzymanego rozkazu.

Mordercy — posłuszni mordercy — zostaną osądzeni. Ale czy można osądzić cały naród? A naród, twierdzi Miller, jest posłuszny: skłonny do konformizmu i do poddania się autorytetowi władzy. **„Problemem Niemców — czytamy w szkicu Millera — jest to, że wzywa się ich, by identyfikowali się z ofiarami, podczas gdy wszystkie instynkty wiodą ich ku temu, by zidentyfikować się z umundurowanymi, zdyscyplinowanymi zabójcami."** To stwierdzenie Millera jest na pewno dyskusyjne. Nie tylko zresztą to jedno. Czy fenomen hitleryzmu można wytłumaczyć na płaszczyźnie psychologii zbiorowej? Czy rzeczywiście wszyscy Niemcy byli zawsze i wszędzie posłuszni władzy? Czy rzeczywiście tragedią tego narodu jest tragedia posłuszeństwa?

„Nie należy w końcu zapominać, że więźniami pierwszych hitlerowskich obozów koncentracyjnych byli niemieccy komuniści i antyfaszyści." Ten cytat pochodzi z omówienia szkicu Millera, wydrukowanego, wraz z fragmentami artykułu autora „Czarownic z Salem", w „Trybunie Ludu" (nr z 12 marca). **„Nie ze wszystkimi sądami i uogólnieniami pisarza amerykańskiego możemy się zgodzić — pisze autor omówienia Bolesław Wójcicki. — Naszym skromnym zdaniem nadużywa on szczególnie tzw. „psychologii narodu". Natomiast nie mówi — przynajmniej w tym artykule opublikowanym na łamach „New York Herald Tribune" — o społecznych uwarunkowaniach III Rzeszy; nie mówi o deprawującym wpływie, jaki faszyzm wywiera wszędzie".**

Boileau

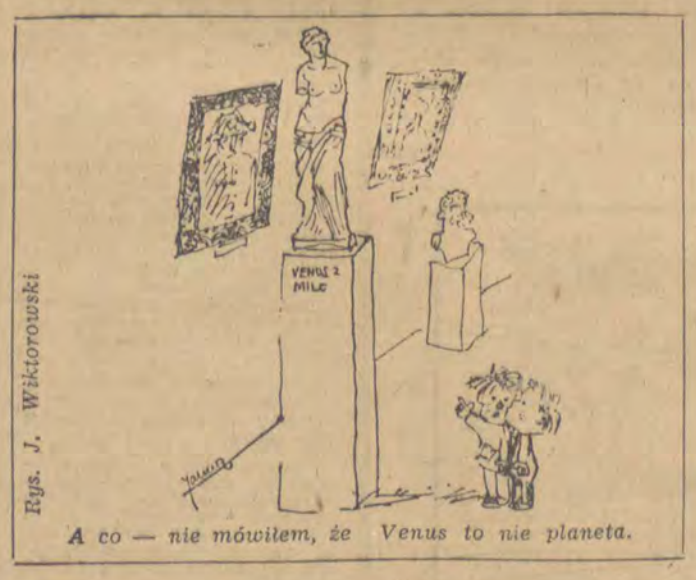

Rys. J. Wiktorowski

A co — nie mówiłem, że Venus to nie planeta.

Poeta z biografią

Przed stu pięćdziesięciu laty, 9 marca 1814 roku urodził się największy poeta Ukrainy, może lepiej byłoby powiedzieć: ludu ukraińskiego — Taras Szewczenko. Dla nas, Polaków, jest to postać ze wszech miar sympatyczna, gdyż znane były jego kontakty z rewolucjonistami polskimi i sympatia dla naszego kraju. Bogactwem swojej biografii mógłby obdzielić kilku ludzi, a przeżyć, których nie poskąpiły mu czas i historia, starczyłoby na wiele pękatych tomów. Odnosi się to zresztą nie tylko do Szewczenki. Bodaj wszyscy dziewiętnastowieczni pisarze przeszli przez życie jak burza przez step. Ich biografie pękają od nadmiaru godnych uwagi szczegółów, które złożyły się na los barwny, ale często i nazbyt okrutny. Jeśli dziś, z tak odległej perspektywy czasu, nie podbija nas w całości twórczość tych pisarzy, to przecież podbija nas ich życie, w wielu przypadkach — wręcz niezwykłe.

Rozmawialem niedawno z pewnym wybitnym poetą polskim, który wydziwiał nad poezją Tarasa Szewczenki. Cóż to za poeta — mówił on — który w wierszach płacze, poprzez którego wiersze płyną łzy? Hm. Gdyby ten współczesny poeta przeżył to, co przeżył Szewczenko, być może, a nawet na pewno spojrzałby inaczej na jego poezję. Łatwo wydziwiać dziś, w 1964 roku, mając za sobą tak bogaty rozwój wszelkiej twórczości i opierając się na dorobku wielu wybitnych poprzedników. Popełniamy wciąż ten sam błąd: zjawiska odległe w czasie mierzymy miarami dzisiejszymi. Tymczasem na poezję, jak w ogóle na każdą twórczość należy spojrzeć z pozycji czasu, w którym powstawała. A jedyną miarą naszej współczesności jest sprawdzenie, czy ta poezja wytrzymała próbę historii i czy jest dla nas żywa. Wydaje mi się, że poezja Tarasa Szewczenki, prosta i wzruszająca, oparta w dużej mierze na pieśni ludowej i dumce ukraińskiej, zachowała swój urok i siłę, jest czytelna i świeża.

Urodził się Taras Szewczenko w rodzinie pańszczyźnianego chłopa — w majątku właściciela wielkich posiadłości ziemskich Engelharta na terenie guberni kijowskiej. Po utracie matki i ojca we wczesnym dzieciństwie, musiał pracować, często ponad swoje siły. Czytać i pisać nauczył się u zakrystiana. Zdumiewające zdolności okazywał jako rysownik. Znalazł się mistrz, który chciał mu udzielać nauki, zażądał jednak pisemnej zgody od właściciela Szewczenki — Engelharta, czemu ten się sprzeciwił. Szewczenko pracował u swego pana jako kuchcik, a następnie jako chłopiec posyłkowy.

W roku 1831 Engelhart wybrał się do Petersburga zabierając ze sobą Szewczenkę w charakterze tragarza kufrów. W stolicy Rosji strzeliła Engelhartowi myśl, by z Tarasa zrobić pokojowego malarza, który by potrafił ozdobić pańskie pokoje i wykonać portret ukochanej możnowładcy. Oddał więc Szewczenkę do dekoratora na naukę, gdzie wraz z innymi uczniami pomieszczono go na strychu. W czasie białych petersburskich nocy 1835 roku chodził Szewczenko do parku i przerysowywał na kartkach papieru znajdujące się tam pomniki. Pewnego razu napotkał go przy tej pracy znany, zamieszkały w Petersburgu, malarz ukraiński Iwan Zoszenko. Zainteresował się nim, poznał go z Grigoriewiczem, sekretarzem Akademii Sztuk, z ukraińskim pisarzem Grebeńko, ze znanym rosyjskim poetą i tłumaczem Żukowskim oraz dwoma malarzami rosyjskimi: Brjułowem i Wenecjanowem. Wszyscy oni zachwycili się talentem samouka i postanowili go uwolnić z poddaństwa. Engelhart zażądał za uwolnienie 2 500 rubli. Malarz Brjułow maluje portret Żukowskiego, który to portret zostaje na prywatnej loterii wygrany za żądaną przez Engelhartą sumę.

22 kwietnia 1838 roku wolny Szewczenko wstępuje do Akademii Sztuk. Studiuje historię, zoologię i fizykę, uczy się języka francuskiego, czyta wielkich poetów. W czasie studiów zaczyna pisać wiersze. Już w pierwszych swoich utworach udaje mu się osiągnąć to, co i później będzie dla jego poezji najbardziej charakterystyczne: liryczny ton ludowej pieśni. W roku 1840 ukazuje się pierwszy jego zbiór wierszy „Kobzar", a następnie „Katarzyna" i „Hajdamacy". W cztery lata później (1844) pisze swój słynny utwór „Sowa", a także takie wiersze jak „Sen", „Ojczulek car" i inne. W początkach roku 1845 wyjeżdża Szewczenko na Ukrainę, gdzie pozostaje dwa lata. Powstają wtedy jego głośne później rzeczy: „Heretyk", „Kaukaz", „Dom umarłych i żywych" i „Testament". Niektóre z tych utworów rozprzestrzeniano potajemnie, gdyż nie mogły ukazać się one w druku. Szewczenko planuje wówczas wyjazd do Włoch na dalsze studia. Lecz nagle, na podstawie donosu, zostaje aresztowany. Wywieziono go do Orenburga, stamtąd zaś szedł jako więzień blisko 300 kilometrów pieszo do twierdzy Orsk — miejsca swego zesłania. W Orsku odziano go w żołnierski płaszcz i ogolono głowę niczym skazańcowi. Pusty bezbrzeżny step, który otaczał ze wszystkich stron twierdzę, wydał się poecie „otwartym grobem".

A jednak i w tej pustyni, daleko od bliskich i przyjaciół, szykanowany i poniżany, pisze w ukryciu i całkowitej tajemnicy swoje buntownicze, owiane ciepłym lirYzmem wiersze. 18 lutego 1855 roku zmarł car Mikołaj I, na tron wstąpił Aleksander II, po którym spodziewano się reform społecznych. W Szewczence budzi się nadzieja na wyjście z twierdzy. Przyjaciele w odległym Petersburgu robią, co mogą, by przyśpieszyć jego uwolnienie. Ale dopiero w dwa lata później doniesiono mu, że został amnestionowany. Nie od razu jednak nadeszło oficjalne rozporządzenie o jego uwolnieniu. Zrozpaczony Szewczenko, wyczekujący dnia swobody, rozpoczyna pisanie „Dziennika" — niezwykle wartościowego dokumentu przeżyć, snów, nadziei i rozmyślań o sztuce.

Wreszcie latem 1857 roku może opuścić miejsce zesłania. Jedzie do Petersburga, w dwa lata później otrzymuje zezwolenie na wyjazd na Ukrainę. Odwiedza braci i siostry, którzy wciąż jeszcze są sługami pańszczyźnianymi. Próbuje wyjednać dla nich uwolnienie. Bez skutku. Umiera 10 marca 1861 roku, mając zaledwie lat 47. Najpiękniejszym poematem Szewczenki jest jego życie, pomnożone mocą talentu pisarza i artysty. Na polski wiersze jego przekładali m. in. Marian Piechal, Włodzimierz Słobodnik i Tadeusz Chróścielewski, a ze starych dziewiętnastowiecznych poetów — niezapomniany Władysław Syrokomla.

Jan Koprowski

fraszki jana Czarnego

CO WPIERW...

Tyle masek, że w końcu
wątpliwości masz,
co wpierw było na świecie,
czy maska, czy twarz?

NAWET

Nawet absolutną próżnię
można widzieć bardzo różnie.

Notatnik kulturalny

9—15. III.

PONIEDZIAŁEK

Kto czytał „Złotego cielca" Ilfa i Pietrowa pamięta zapewne jeden ze sposobów wyłudzania pieniędzy od naiwnych stosowany przez Ostapa Bendera. Uroczy ten hochsztapler występował czasem jako hinduski arcykapłan „ulubieniec Rabindranatha Tagore". W programie występów Bendera znajdowały się między innymi „Niewidzialna kokoszka" i „Rozdawnictwo słoni". „Teatr złudzeń" z jakim Estrada Łódzka wojażuje po województwie ma program skromniejszy. Oto on: „Zniknięcie od pięciu do piętnastu osób z publiczności, jak stać się niewidzialnym; hinduska transformacja ludzi na scenie". Ku mojemu żalowi rozdawnictwa słoni nie przewidziano. Ale mimo to myślę, że stosowanie po czterdziestu latach znakomitych metod Wielkiego Kombinatora — zasługuje na szacunek i podziw. Nie każdy chciałby się dziś tak ośmieszać.

WTOREK

Jaka szkoda, że nikt nie zebrał przeuroczych wierszyków wpisywanych w sztambuchy nastolatków. Sztambuchy bowiem to rzecz wiecznotrwała. Obok tradycyjnego „Na górze róże" znajdziemy w sztambuchu anno domini 1964 — „Niemcy chcą wojny, Polacy wolności, a tobie Jolu, w nauce dużo zdolności" — co świadczy, że młodzież świadoma jest knowań bońskich militarystów i w samorodnej twórczości daje im odpór. Są również teksty historyczno-literackie: „Ucz się, Jolu, pilnie jak Mickiewicz w Wilnie. Bo Mickiewicz w Wilnie uczył się pilnie" — co wszakże nie jest zupełnie zgodne z prawdą historyczną, niemniej zawiera silne akcenty dydaktyczne. Tak mi się to spodobało, że postanowiłem też sobie sprawić sztambuch.

ŚRODA

„Zarzewianka" — nazwa trochę myląca, bo nie chodzi o osiedle Zarzew, ale o pismo „Zarzewie". „Zarzewianka" natomiast to kawiarnia, którą dziś otwarto w pałacyku Zarządu Wojewódzkiego ZMW przy ul. Jaracza. „Przyjeżdża do Łodzi młodzież z województwa — powiedzieli mi działacze ZMW — załatwia swoje sprawy, a potem nie ma się gdzie podziać. Kawiarnie okupywane są przez bywalców. Więc stworzyliśmy im azyl — „Zarzewiankę". Rzeczywiście — ciepło tu, kolorowo, przytulnie. Dworzec blisko — chuligani daleko. Właściwie kawiarenki nie powinno się reklamować. Jeśli stanie się ona, nie daj Boże, popularna, to może powtórzyć się historia z Warszawskim Domem Chłopa, gdzie na dobre zadomowili się wieśniacy z Marszałkowskiej i włościanki z „Polonii".

CZWARTEK

Wernisaż. Z winem, z pompą, ze stremowanym Grzybowskim — twórcą grafik wystawionych w Klubie Dziennikarza. Zrobiły na mnie wrażenie te prace, straszliwie smutne, wręcz ponure. Ten człowiek o twarzy z linii papilarnych, te nie istniejące kraby, skorupiaki, małżoraczki, pancerzowce — ta cała zoologia artysty. Ubawiła mnie szczerze „Choinka kosmonautów" i ptasie „Karambole", kormorany i łabędzie. Nie wspomnę słowem o abstrakcji, bowiem — niezależnie co o tym sądzi Grzybowski — jego prace przedstawiające podobały mi się najbardziej.

PIĄTEK

Po przeczytaniu artykułu w dzisiejszej „Gazecie Handlowej" — zadumałem się. Z artykułu bowiem wynika, że szatniarz w „Lodziance" zarabia rocznie około 200.000 zł. Czyli ponad 16.000 zł miesięcznie, czyli dziesięciokrotną równowartość przeciętnych miesięcznych poborów. Nie myślcie, że zazdroszczę, nie to — ale po prostu myślę, że każdy kto pracuje „za te polskie dwa tysiące" po przeczytaniu tej informacji poczuł się trochę nieswojo.

SOBOTA

Na hotele i pralnie nie ma silnych. Nawet dziennikarze nie mają tu taryfy ulgowej. „Jestem z prasy" — denerwował się kiedyś mój kolega, któremu nie chciano wydać koszul poza kolejką. „A ja jestem z pralni" — odparowała pracownica i zatrzasnęła drzwi. Z hotelami podobnie. Książęta krwi pracujący w recepcjach, amatorów pokojów z łazienką witają ironicznym uśmiechem. Musiało się to przydarzyć również dwóm łódzkim architektom p.p. Michalewiczowi i Marszałowi — ponieważ pierwszą nagrodę na ogólnopolskim konkursie architektonicznym otrzymali właśnie za projekt hotelu. Stanie to cudo ze stali i szkła między wieżowcem TV i cerkwią, będzie miało 400 łóżek i 13 pięter. Sprytne — jeśli kaloryfery będą zimne, lub winda nieczynna, zawsze to będzie można tłumaczyć pechową trzynastką.

NIEDZIELA

Liga Kobiet dba o swoich członków. W Klubie przy ul. Struga urządza się często różnego rodzaju pokazy. Raz nawet, prasa podała, że w czasie pokazu wzorowego gotowania szybkowarem parę osób zostało poparzonych. Dzisiaj nie było imprezy z gatunku eksperymentalnych. Dziś po prostu zebrały się same panie, aby sobie przy herbacie pośpiewać. Ot, takie „Kobieta, herbata i śpiew". Żeby jednak nie było zbyt nudno zaproszono p. Leszka Rudeckiego z MDK i ten jedyny w pięknym gronie mężczyzna prowadząc tę oryginalną imprezę, miał zdaje się udowodnić, że jednak bez mężczyzn świat byłby ponury.

J. W.

Spektakle tygodnia

FILM

WŁÓKNIARZ — „Skąpani w ogniu" . . . 8.570 widzów
WISŁA — „Sami zakochani" . . . . . 11.363 „

TEATR

JARACZA — „Zaproszenie do zamku" . . . 1.215 — 90%
(2 spektakle)
„Nagi król" . . . . . 1.194 — 88%
(2 spektakle)
POWSZECHNY — „Romeo i Julia" . . . . 2.600 — 98%
(4 spektakle)
„Szkoła obmowy" . . . . . 2.600 — 98%
(4 spektakle)
7.15 — „Lekarz mimo woli" . . . . . 1.335 — 60%
(5 spektakli)
„Romans z wodewilu" . . . . . 439 — 100%
(1 spektakl)
NOWY — „Maria Stuart" . . . . . 1.430 — 100%
(2 spektakle)
„Most" . . . . . 1.430 — 33%
(6 spektakli)
OPERETKA — „Cancan" . . . . . 4.200 — 84%
(7 spektakli)
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny. . . . 749 — 50%
(2 koncerty)

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Fot. E. Kuda j

warto obejrzeć

TV

Doktor bez zmazy, Jimmy Kildare, pozwala się podziwiać na ekranach naszych telewizorów dość regularnie — co 2 tygodnie (najbliższe spotkanie w środę, 25 marca rano i wieczorem). Pisze o nim Jerzy Toeplitz w książce „Film i telewizja w USA":

„Dr Kildare jest już prawdziwą instytucją w życiu amerykańskiego społeczeństwa. Przed trzydziestu laty występował jako bohater filmów (grał go Lew Ayres), potem popisywał się swymi umiejętnościami w radio, dziś w nowym, odmłodzonym wydaniu ukazuje się w programie NBC. Uśmiechniętego, cierpliwego i bardzo przystojnego lekarza gra Richard Chamberlain.

(...) Bohater poświęca się, oddaje swe siły i czas, by ratować innych. A przy tym dzieje się to wszystko nie na zasadzie wymyślonych pretekstów i po to, by olśnić widza szlachetnością działających postaci, ale na gruncie realnych spraw codziennej walki o zdrowie i życie pacjentów. Oczywiście postacie lekarzy są wyidealizowane, ale ich społeczna misja — nie fikcyjna".

Zatem — baśń dla dorosłych, w której — jak w bajkach dla dzieci — działa pozytywny bohater i triumfuje dobro. Od dziecięcych różni ją tylko większa liczba elementów wziętych z rzeczywistości: całkiem realne tło i w miarę realna motywacja postępków bohatera.

Myślę, że Kildare ma szanse i u nas stać się instytucją. Odwołuje się do lęków i trosk, obchodzących nas najżywiej, tj. do lęków i trosk o własną cenną osobę i własne szlachetne zdrowie.

Bardzo charakterystyczny jest tu wybór, jakiego dokonaliśmy my, telewidzowie, gdy zapytano nas, kto ma być „Polakiem 1963". Obwołaliśmy „Polką roku" lekarkę z Wrocławia — więc osobę, która każdemu z nas, prywatnie, kiedyś może się przydać.)

Dość jednak o bajecznym doktorze. W sobotę, 21 marca czekają nas straszni mieszczanie.

Wg wodewilu Eugeniusza Labiche'a **„Słomkowy kapelusz"**, (do potrzeb polskiej sceny przystosował go kiedyś Tuwim) w telewizji reżyseruje **„Słomkowy kapelusz"** Andrzej Łapicki — przed laty powstał jeszcze niemy film Rene Clair'a. W porównaniu z interpretacją clairowską w przedstawieniu telewizyjnym (mogę pisać tak „konkretnie", bo spektakl jest powtarzany) mniej jest cech strasznomieszczańskich. Clair bowiem, nie dysponując dialogiem, całą charakterystykę postaci oparł na widowiskowym przywiązaniu do (i zależności od) rzeczy. Było to logiczne, bo i motorem dramatu stała się rzecz, kapelusz. Więc panna młoda kłopotała się suknią, której falkę podtrzymywała klująca pannę szpilka, tatę dręczyły ciasne buty, jeden wuj prowadził nieustanną walkę z krawatem, wuj głuchy miłośnie tulił niezbędną mu trąbkę. Żałobnicy w cylindrach natychmiast zajęli się meblami, które, jak z nieba spadały z okien na ulicę, a służący nie omieszkał rewindykować prezentów, które obrażeni goście weselni chcieli sobie odebrać...

W telewizji nie ma tych ciągłych zderzeń ludzi i rzeczy. Czy postacie przez to nie przybladły? Porównajcie.

Nadto do oglądania: w katowickim Teatrze TV w piątek, 20 marca **„Krata"** wg powieści Poli Gojawiczyńskiej. Adaptacja Barbary Witek-Swinarskiej, reżyseria Andrzeja Szafiańskiego, scenografia Wiesława Langego. I w teatrze warszawskim w poniedziałek, 23 marca, **„Droga do Czarnolasu"** Aleksandra Maliszewskiego. Reżyseria Jana Kulczyńskiego, scenografia Wojciecha Siecińskiego. Piękny to zamysł Teatru TV tak bez żadnego narodowego święta i żadnej (zdaje się) rocznicy przypomnieć nam o Kochanowskim: na co dzień zwykł on żyć tylko w drukowanym przez „Przekrój" humorze z zeszytów szkolnych".

A we wtorek, 24 marca okaże się, że „Wszyscy jesteśmy sędziami".

J. M.

warto posłuchać

Zaplanowane na koniec lutego br. koncerty symfoniczne Filharmonii Łódzkiej zostały z powodu choroby dyrygenta Arkadiusza Basztonia odwołane i przełożone na nowy termin: 20 i 21 marca. Program tych koncertów omówiliśmy w numerze 9 „Odgłosów", a zatem dzisiaj przypomnimy tylko pokrótce tytuły utworów i nazwiska wykonawców. Na program złożą się następujące pozycje:

Symfonia nr 92 G-dur, tzw. „Oksfordzka" Józefa Haydna.

Liryki do tekstów Safony na głos i 10 instrumentów Andrzeja Hundziaka. Solistka Delfina Ambroziak. Prawykonanie.

Serenada na głos, róg i orkiestrę smyczkową Beniamina Brittena. Soliści: Delfina Ambroziak i Józef Szczególski — róg. Prawykonanie łódzkie.

Suita „Ptaki" Ottorina Respighiego. Dyrygent — Arkadiusz Baszton.

W tygodniu przedświątecznym odbędzie się tylko jeden „nadzwyczajny" koncert symfoniczny — we wtorek 24 marca. Główną atrakcją tego koncertu będzie zapowiedziany od dawna występ pianisty polskiego światowej sławy, Witolda Małcużyńskiego, który z towarzyszeniem orkiestry, pod dyrekcją Stefana Mroszczyka, grać będzie koncert fortepianowy d-moll Sergiusza Rachmaninowa. Do programu koncertu włączona została ponadto Uwertura koncertowa op. 12 Karola Szymanowskiego.

Przekonywanie kogokolwiek, że „warto posłuchać" i tego koncertu jest właściwie bezprzedmiotowe, ponieważ bilety poszły natychmiast już w pierwszym dniu przedsprzedaży. Jak zwykle, przy takich okazjach, wśród okupujących kasę filharmonii znalazło się sporo osób, które... nie należą do stałych bywalców koncertów symfonicznych i w filharmonii bywają tylko na występach wielkich sław. Otóż chcielibyśmy bardzo przekonać ich, bez najmniejszej ujmy dla naszego znakomitego artysty, że warto również posłuchać innych koncertów. Sądzimy, że gra Witolda Małcużyńskiego będzie bardziej przekonywającym argumentem niż jakiekolwiek słowa. Liczymy też bardzo na Uwerturę Karola Szymanowskiego. Do tego programu nadaje się znakomicie. Nie tylko dlatego, że wkrótce (29.III.) przypada 26 rocznica śmierci wielkiego kompozytora. Jest to świetna muzyka, pełna blasku i polotu, bardzo zresztą dobrze grana przez naszych filharmoników. Można więc przyjąć, że zyska uznanie także tych „okolicznościowych" słuchaczy. Rzecz w tym, że można równie dobrej muzyki posłuchać co tydzień, bo orkiestra jest przecież stale na miejscu. I to właśnie chcielibyśmy powiedzieć tym wszystkim, którzy przychodzą do filharmonii „raz około Wielkiej Nocy", a także tym, którzy dotychczas nie zdobyli się na odwagę i nigdy nie byli na filharmonicznym koncercie.

Z. G.

— Jak się nazywasz?

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17.
Zam. 703. III. 64. F-4

jazz

VIII. POCZĄTEK ZŁOTEJ ERY

Wkrótce po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do toczącej się w Europie I wojny światowej, w 1917 r. słynna dzielnica rozrywkowa Nowego Orleanu — Storyville została zlikwidowana. Decyzja likwidacji wydana notabene przez władze federalne okazała się brzemienna w skutki dla dalszego rozwoju jazzu królującego dotychczas w restauracjach, szynkach, knajpach i salach tanecznych Nowego Orleanu. „Jazzmani wzięli trąbki i kornety pod pachę i ruszyli na północ. Poszli urzeczywistniać swoją wizję". (Dennis Askey). Mówiąc prozaicznie — ruszyli w górę Missisipi w poszukiwaniu chleba. Również za chlebem, za możliwością otrzymania dobrego zarobku wędrowali na północ, do stalowni i rzeźni Chicago, czarni robotnicy z Południa, którzy byli następnie pierwszymi konsumentami jazzu na północnym krańcu Stanów Zjednoczonych nie bardzo jeszcze pojmującym istotę tej muzyki. Teren ten zetknął się już co prawda z jazzem, ale spotkanie to nacechowane było nieufnością, wypływającą z braku znajomości elementarnych jego zasad. A oto jak wyglądało to pierwsze spotkanie:

„Kiedy po południu 26 lutego 1917 r. pięciu młodych ludzi rodem z Nowego Orleanu zjawiło się w nowojorskim studio wytwórni płyt gramofonowych Victor Talking Machine Company, powitano ich uprzejmie i z ciekawością, ale bez specjalnego entuzjazmu. Przybysze byli wykonawcami dziwacznej nowości muzycznej zwanej jazzem, kakofonicznej kociej muzyki, która zdobyła wielkie powodzenie w dużym i modnym kabarecie Reisenwebera przy rondzie Columbus w Nowym Jorku. Nowość ta wzbudziła ogólne zainteresowanie, więc firma Victor postanowiła ją nagrać na płyty, chociaż obawiano się, że brzmiące niczym skoordynowany hałas dźwięki wyjdą w gramofonie jak zgrzytliwy zgiełk.

Pomimo więc rozgłosu, jaki otaczał Oryginal Dixieland Jass (sic) Band, zaproszenie wystosowano z dużym wahaniem. Próba miała polegać na odegraniu dwóch utworów: „Dixie Jass Band One Step" i „Livery Stable Blues", oparte na naśladowaniu głosów rozlegających się w wiejskiej zagrodzie — popisowy numer z kabaretu Reisenwebera". (John Wilson)

Tyle kronikarz relacjonujący okoliczności jakie towarzyszyły nagraniu pierwszej w historii jazzu płyty.

Pierwsze płyty z jazzem przyspieszyły jego rozwój. Zbliżyły tę muzykę do tysięcy, a potem milionów odbiorców, wśród których znaleźli się później jej wirtuozi. Jazz rozpoczynał swój triumfalny pochód. Dźwięki synkopowanej muzyki wybiegały na świat spoza szeroko dla niej otwartych drzwi nocnych lokali, wydobywały się z szumem z tub gramofonów; w 1920 r. rozbrzmiały po raz pierwszy na falach eteru. A cztery lata później, 12 lutego 1924 r. jazz zadebiutował na estradzie koncertowej. W nowojorskim Aeolian Hall podczas koncertu, nad którym patronat objęli między innymi Damrosch, Heifetz, Kreisler, Stokowski i Rachmaninow rozpoczęła się złota era jazzu.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

warto obejrzeć

TYDZIEŃ W KINIE

Wśród filmów zagranicznych mniej lub więcej atrakcyjnych, które oglądamy na ekranach lub też będziemy oglądać w najbliższym czasie na specjalną uwagę zasługuje m. in. film produkcji amerykańskiej reprezentujący tzw. „nowe kino amerykańskie", na czele którego stoją — producent Levis Allen i krytyk Jonas Mekas z Nowego Jorku. Oni to byli w roku 1960 inicjatorami powstania organizacji pn. „The Group" skupiającej 23 niezależnych twórców. Grupa ta opublikowała deklarację, w której stawia sobie jako cel działania tworzenie dzieł filmowych niezależnych od producenta, dystrybutorów i całej machiny handlowej. Nie próbując oceniać tej grupy amerykańskich twórców, bardziej skądinąd znanych z dziedziny teatru, plastyki i literatury, aniżeli filmu, warto zobaczyć jeden z pierwszych ich filmów „CZAS POGAŃSTWA" w reżyserii Petera Kassa. Historia jednego z lotników amerykańskich, członka załogi samolotu, który zrzucił bombę atomową na Hiroszimę nie jest pierwszym wypadkiem podjęcia tego tematu w dziele sztuki. Nie mniej jednak Peter Kass spróbował w swoim filmie ukazać coś więcej, aniżeli motywy psychologiczne samotnej wędrówki b. lotnika, jego ucieczki od świata. Wizje bohatera filmu związane z tragedią Hiroszimy graniczą z aktualnym materiałem obserwacyjnym dotyczącym współczesności amerykańskiej. Zbyt jednak natrętnie reżyser operuje znanymi schematami i uogólnieniami. Dotyczy to chociażby takiego problemu jak rasizm. Mimo to film Kassa służy jednemu zasadniczemu celowi — jest manifestacją przeciwko pogardzie wobec człowieka, niestety, ciągle trwającej, a nawet wykazującej w pewnych krajach tendencje rozwojowe. Film nie jest pod względem formy dziełem dojrzałym, stanowi (o tym trzeba pamiętać), debiut filmowy Petera Kassa, jak również autora zdjęć do tego filmu Eda Emshwillera, który z zawodu jest przede wszystkim malarzem i fotografem. „Czas pogaństwa" w aktualnym repertuarze należy na pewno do pozycji bardzo ciekawych, a przyznanie w roku 1961 jego twórcom Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Artystycznych i Filmów o Sztuce w Bergamo, świadczy także na korzyść wymienionego filmu.

Także japońskie dzieło reżysera Masaki Kobayashi „HARAKIRI" częściowo znane już z tegorocznego Festiwalu Festiwali Filmowych dotyczy problematyki moralnej — jest może nie tyle oskarżeniem samurajskiego kodeksu honorowego, co przede wszystkim współczesną analizą absurdalnych pojęć o rycerskiej etyce, które jeszcze były żywe w faszystowskiej Japonii czasów ostatniej wojny światowej. Dla widza, który zetknął się już chociażby z filmami Kurosawy, jak: „Roshomon", „Siedmiu samurajów", film Kobayshi, mimo naturalistycznych scen obrzędu harakiri nie powinien nastręczać trudności w odbiorze. Oczywiście, niektórych może męczyć powolny rytm narracji, zbyt egzaltowane aktorstwo. Tym niemniej film japoński zyskuje z roku na rok coraz więcej zwolenników.

I wreszcie coś nowego z gatunku filmowych kryminałów, "i ekranach oglądamy angielskiego „CICHEGO WSPÓLNIKA" w reżyserii Basila Deardena, autora znanej u nas kapitalnej „Ligi dżentelmenów", „Cichy wspólnik", niestety, ustępuje wspomnianej „Lidze", ponieważ tym razem Dearden wyeksponował kryminalną zagadkę, jej zagmatwanie i wreszcie niespodziewane rozwiązanie. Zabrakło więc humoru i ironii, a nawet groteski — walorów „Ligi dżentelmenów". Sprawnie zrealizowany „Cichy wspólnik" z uroczą aktorką izraelską Hayą Harareet i Stewardem Grangerem wart jest obejrzenia chociażby dla wymienionej pary aktorskiej, zaś odkrycie owego cichego wspólnika jest pasjonujące i trudne do przewidzenia.

A. N.